ROK I. Nr. 41. 3 listopada 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE

gotówką 10.000 zł. nagrody

W TEKŚCIE: KLESZCZYŃSKI

CZARNA SZPILKA!!!

(Fot. Dorys).

Co słychać na świecie?

Nieoczekiwany upadek gabinetu p. Brianda był największą niespodzianką nietylko dla zagranicy, nie tylko dla opinji publicznej we Francji, ale nawet dla tych, którzy się do tego upadku przyczynili. Że gabinet p. Brianda, — dwunasty z kolei, któremu ten rekordowy premjer przewodniczył — był gabinetem przejściowym, wakacyjnym, jak go sam p. Briand określił, o tem nikt nie wątpił. Po ustąpieniu gabinetu Poincare'go w lipcu bieżącego roku, wytworzyła się luka, którą trzeba było koniecznie i bezzwłocznie zapełnić. Nie było czasu na długie targi partyjne, Francja stała w przededniu konferencji Haskiej, w przededniu uregulowania najważniejszej dla siebie sprawy od chwili podpisania pokoju. Francji potrzebny był autorytet p. Brianda. Zrodzony z nakazu chwili dla załatwienia problemu odszkodowań, rząd p. Briand'a uważał sobie za obowiązek doprowadzić sprawę do ostatniego końca, to jest do ratyfikacji planu Younga przez parlament francuski, potem zamierzał ustąpić.

W dniu otwarcia parlamentu opozycja radykalno-socjalna pp. Montigny, Blum, Violette i Daladier podniosła swe zasadnicze zarzuty przeciw rządowi, zgłaszając wniosek o ustalenie terminu dla odpowiedzi rządowej na interpelację w kwestjach polityki zagranicznej. Wywiązała się stąd dyskusja, w której, oczywiście, nie dało się pominąć planu Younga, jako najbardziej emocjonującego obecnie opinję francuską, naizupełniej rozbitą w tej kwestji. P. Briand chcąc przeciąć niewczesną dyskusję z całą lojalnością zresztą wobec swych zadań, postawił kwestję votum nieufności dla rządu; wtedy stała się rzecz nieoczekiwana, przypadkowa: obalenie rządu 288 głosami przeciw 277, to znaczy nawet nie głosami połowy Izby, liczącej 610 posłów. Chwilowa większość przeciwrządowa powstała dzięki temu, że do głosów stałej opozycji, radykałów i socjalistów przyłączyło się kilkadziesiąt głosów prawicy i centrum z pp. Souis, Marin i Mandel na czele, popierających dotąd rząd p. Brianda.

Upadek rządu świadczy o jednem: że opinja publiczna we Francji nie godzi się bez zastrzeżeń na plan Younga i ma poważne wątpliwości co do ewakuacji Nadrenji. Z drugiej strony, gdyby z tych fluktuacji opinji publicznej mieli korzystać socjaliści i sięgnąć po władzę, możnaby się obawiać dla Francji zawieszenia rozejmu politycznego i podjęcia na nowo walki między prawicą, a lewicą, grożącej osłabieniem autorytetu Francji nazewnątrz i zahamowaniem postępu finansowego i gospodarczego. Przytem utworzenie większości centro-lewej nie jest rzeczą łatwą. Misji pogodzenia grup socjalistycznej, radykalnej i umiarkowanej republikańskiej podjął się p. Daladier, prezes stronnictwa radykalno-socjalistycznego, i targ o teki ministerjalne trwa w obecnej chwili w całej pełni. Jedno tylko jest rzeczą pewną, i zdaje sobie z tego sprawę zarówno opinja francuska jak i zagraniczna, że bez udziału p. Briand'a, jako ministra spraw zagranicznych, żaden gabinet nie ma widoków utrzymania się przy władzy.

Tymczasem w Niemczech walka o plebiscyt trwa na dobre, jakkolwiek przegrana kół prawicowych wydaje się niemal pewną. Projekt p. Hugenberga poddania powszechnemu głosowaniu kilku tez ultranacjonalistycznych zaczął widocznie spełzać na niczem od chwili, gdy zawiodła próba wciągnięcia do walki politycznej osoby prezydenta Rzeszy. P. Hindenburg postąpił godziwie i przezornie. Może sercu jego miła była teza, że Niemcy nie ponoszą odpowiedzialności za wojnę, może godził się w duchu na odrzucenie planu Young'a i żądanie bezzwłocznej ewakuacji Nadrenji bez spełnienia żadnych warunków ze strony Niemiec, ale nie mógł się zgodzić na oddanie pod sąd rządu, który podpisał umowę haską. Zdaje się, że p. Hugenberg i towarzysze przesadzili cokolwiek i zaciekłość ich oddziała raczej otrzeźwiająco na opinję publiczną w Niemczech. Już dziś koła nacjonalistyczne w przeczuciu kompromitacji pragnęłyby się odsunąć od grupy ultra-prawicowej, niestety, jednak, zapóźno, gra się rozpoczęła i trzeba ją rozegrać do końca.

Najciekawsze, że te same sfery które usiłowały prezydenta Rzeszy wciągnąć do walki politycznej, obecnie oskarżają go, że wyszedł ze swej roli bezstronnego ponadpartyjnego szefa państwa, wypowiadając swą opinję w kwestji plebiscytu. Płynie stąd ta niezwykła konsekwencja, że te same koła, których głosami p. Hindenburg został w swoim czasie wyniesiony na najwyższą godność w państwie, obecnie odmawiają mu swego zaufania, można, jak widać, być monarchistą i konserwatystą, ale nie koniecznie szaleńcem.

Na zachodzie francusko-niemieckim wstrząsy i niepokoje, na wschodzie polsko-rumuńskim horyzont bez chmur, słonecznie i ciepło. Wizyta p. Zaleskiego w Rumunji, będąca odpowiedzią na niedawną wizytę w Polsce min. Mironescu, dała powód do licznych i gorących manifestacji na rzecz sojuszu polsko-rumuńskiego. W istocie, w Rumunji niema odłamu politycznego, któryby nie podzielał powszechnej opinji, iż przyjaźń z Polską jest podstawą rumuńskiej polityki zagranicznej, a zarazem jest najpewniejszą podporą Rumunji na terenie międzynarodowym...

Dla uświetnienia i upamiętnienia chwili pobytu w Rumunji polskiego ministra spraw zagranicznych zachowano akt podpisania traktatu pojednawczego i rozjemczego. Traktat ten nie odbiega od typu umów, zwykle przez Polskę podpisywanych i odpowiadających zaleceniom Ligi Narodów. Postępowanie pojednawcze poprzedza normalnie odwołanie się do arbitrażu, który staje się obowiązujący na żądanie jednej ze stron w razie nieosiągnięcia porozumienia w postępowaniu pojednawczem. Z pod zasięgu działania traktatu wyjęte zostały jak zazwyczaj sprawy dotyczące statutu terytorjalnego, podlegające kompetencji sądów krajowych przed wydaniem przez nie ostatecznego wyroku, oraz sprawy, poprzedzające swym początkiem zawarcie traktatu.

P. Zaleski, podpisując traktat, wyraził przekonanie, iż nie znajdzie on nigdy zastosowania w stosunkach między dwoma zaprzyjaźnionemi narodami. W istocie, najważniejsze jest li tylko manifestacyjne znaczenie traktatu, zwłaszcza wobec faktu iż obejmuje on tylko możliwe spory przyszłe.

Na Dalekim Wschodzie surmy bojowe ryczą zaciekle, czasem padają strzały a krwi się leje bardzo mało. Wojna sowiecko-chińska weszła w stadjum chronicznie wzajemnej obserwacji przerywanej od czasu do czasu wybrykami oddziałów białogwardzistów, którzy korzystają z okazji utoczenia tu i owdzie krwi bolszewikom i zdobycia tu i owdzie łupów na wrogu. Prawdziwa walka toczy się nie nad Amurem i Sungari. Bolszewicy przypuścili atak i postępują naprzód na froncie wewnętrznym Chin. Osiągnięte z wielkim trudem przez rząd nankiński pozory zjednoczenia i pojednania Chin, znowu pod naporem agentów sowieckich i sowieckiego złota zaczynają ustępować miejsca otwartej walce i anarchji.

Listopad

OR-OT.

Świat się przyoblekł w suknię żałoby,
Ze śmiercią zawarł ślub,
Gdzie rzucić okiem, groby i groby,
I w sercu także grób,

Blade słoneczko w chmurach się chowa,
Jakby gromnica lśni,
A echem idą złowieszcze słowa:
„Co umarło — niechaj śpi"...

Roi się oczom wizja wiośniana,
Pachnący, złoty maj,
Rośnie słowicza, grzęda różana
I bzów rozkwitły gaj!

I jakieś iskry i jakieś dreszcze
I coś, co niebem brzmi...
A echem idą słowa złowieszcze:
„Co umarło — niechaj śpi"...

Marzy się sercu legenda jasna,
Rajskiego bytu szmat,
Jakaś chatyna, cicha a własna,
Jakiś wyśniony kwiat.

Ciepłych rąk dwoje, dwu dusz rozmowa,
I długie, święte dni...
A echem idą złowieszcze słowa:
„Co umarło — niechaj śpi..."

I śnią się duszy wielkie krainy,
Kędy króluje pieśń,
Świetne purpury, dumne wawrzyny,
Strącona mogił pleśń.

I szczyty ziemskie, gdzie stoją wieszcze,
A Bóg nad nimi grzmi...
A echem idą słowa złowieszcze:
„Co umarło — niechaj śpi..."

Świat się przyoblekł w suknię żałoby,
Ze śmiercią zawarł ślub,
Gdzie rzucić okiem: groby i groby,
I w sercu także grób!

Ono się zrywa: gdzie nić różowa?
Gdzie moc? gdzie blask? gdzie my?
A echem idą odwieczne słowa:
„Co umarło — niechaj śpi..."

Nową wyprawę na biegun południowy przedsięwziął słynny podróżnik, Wilkins. (fot. Wide World).



Jednym z głównych oponentów gabinetu Brianda był poseł Georges Mandel, były współpracownik Tygrysa - Clemenceau.



Prezydent Portugalji, gen. Carmona odwiedził w Madrycie króla Alfonsa XIII. (fot. Wide World).



Prezydent Senatu francuskiego, Doumer wychodzi z pałacu Elysée po konferencji w sprawie gabinetu.

Centrowiec Marin dzięki nieoczekiwanemu wystąpieniu przeciw Briandowi jest współtwórcą gabinetu socjalistycznego.



Na konkursie piekności niemowlęcia, odbytym w Ameryce, pierwszą nagrodę otrzymała dwuletnia Patrycja Horch.



Rodaczka nasza, p. Zofja Mikulska otrzymała niedawno dyplom pilota w szkole italskiej. Podczas egzaminu wysokości, p. Mikulska utrzymała się na wysokości 3600 m. przez 1½ godziny. W rozmowie z naszym współpracownikiem dzielna pilotka skreśliła na swojej podobiźnie oryginalną formułę pozdrowienia lotników italskich — „in bucca di lupo", co w dosłownem tłomaczeniu znaczy: „w paszczy wilka", wyrażając w tych słowach serdeczne życzenia wszystkim Czytelnikom „7 Dni".



Na miejsce ustępującego z P. A. T.'a d-ra Góreckiego został mianowany dyrektorem mjr. dr. Roman Starzyński.



Ex-żona Chaplina, Lita Grey zaręczyła się z artystą filmowym, Bakerem.



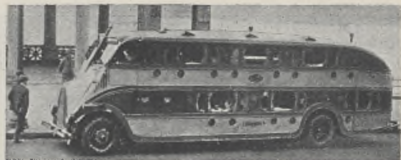
Przed paroma dniami odbyło się w Rambouillet doroczne polowanie dla członków korpusu dyplomatycznego. W zastępstwie Prezydenta honory gospodarza sprawował min. Briand. Na fotografji naszej widzimy Ambasadora Rzplitej Chłapowskiego.



Premjer Mac Donald na pożegnalnej wizycie u prezydenta Hoovera.



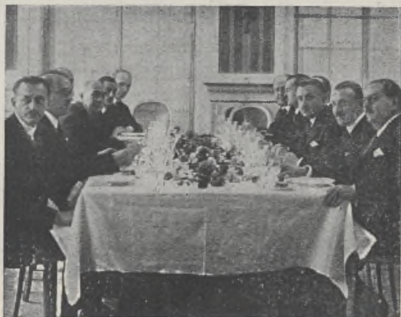
Olbrzymi aeroplan okrążył jezioro Bodeńskie, wioząc 160 pasażerów.



Udoskonalony autobus amerykański z miejscami sypialnemi.



W stolicy naszej odbył się zlot Związku Młodzieży Wiejskiej. Dzielna ta instytucja krzewi wśród młodzieży kulturę rolną oraz organizuje koła P. W. i W. F. Na fotografji widzimy delegację składającą hołd Prez. Rzplitej.



Przed kilkunastu dniami gościli w naszej stolicy przedstawiciele sekcji mniejszościowej Ligi Narodów — min. Auguirre de Carcer i prof. de Assarate. Fotografja podczas śniadania w hotelu Europejskim.



Jak policja prohibicyjna rozprawia się z transportami Whisky.

HENRYK FORD.

O aucie i prohibicji

(Copyright by „7 DNI").

Prohibicja w Stanach Zjednoczonych... Sucha Ameryka... Ileż to się już pisało i dyskutowało na ten temat. A jednak kwestja ta nie straciła nic ze swej świeżości. Olbrzymi, iście amerykański eksperyment wykorzenienia jednego z największych utrapień ludzkości — pijaństwa. Czy udał się i w jakim stopniu? Nie brak sceptyków, którzy twierdzą, że prohibicja odbija się tylko na gatunku alkoholu, którego konsumpcja nie uległa zmniejszeniu. Paradoksalnym wydaje się fakt, że najbardziej zainteresowanymi w utrzymaniu ustawy prohibicyjnej są „gangsterzy". — potężne organizacje przemytników alkoholu, którzy łożą olbrzymie sumy na propagandę „suchości". Głos największego przemysłowca, miljardera, Henry'ego Forda, opublikowany na łamach „Pictorial Review", który poniżej zamieszczamy, jest tem więcej interesujący, że za kulisami ustawodastwa prohibicyjnego działają wielcy fabrykanci automobilów, którzy wychodzą ze słusznego założenia, że prohibicja zwiększa zdolność nabywczą mas. Nigdy nie zdobyłby się robotnik na kupienie własnego auta, gdyby trwonił pieniądze po szynkach i barach. A przecież produkcja takiego Forda obliczona jest na najszersze, najmniej zarabiające, masy.

Niektóre z twierdzeń Forda wydają się nieco ryzykowne jak np.: że Ameryka właśnie dzięki prohibicji wysunęła się na czoło produkcji wszechświatowej i cieszy się największym dobrobytem. Teza ta, przy jednoczesnem pominięciu innych czynników, jak np. wielkiej wojny, podczas której narody przodujące w produkcji cofnęły się w swym rozwoju dopingując Amerykę do zajęcia pierwszego miejsca, nasuwa pewne zastrzeżenia. Niemniej charakterystycznem jest przypisywanie zubożenia państw Europy — brakowi ustawy prohibicyjnej.

Jeżeli nadejdzie taka chwila — w co nie wierzę — że prohibicja w Stanach zostanie zniesiona — z tą chwilą zamykam swoje fabryki. Nie zawaham się ani chwili pozostawić bez pracy 200.000 ludzi zatrudnionych w moich zakładach. Aniby mi na myśl nie przyszło płacić tym ludziom pieniądze, które im później odbiorą właściciele barów i szynków. Niewidziałbym żadnego interesu w budowaniu wozów dla pokolenia, które oddaje się pijaństwu. Po zniesieniu prohibicji przemysł amerykański cofnie się do stadjum, w którem znajdował się na początku obecnego stulecia. Prohibicji zawdzięcza Ameryka swoje przodujące stanowisko w gronie państw przemysłowych; prohibicji zawdzięcza swe bogactwa i dobrobyt swoich obywateli .Zagranica potrzebna jest Stanom Zjednoczonym tylko jako rynek zbytu. Dzięki prohibicji Stany Zjednoczone osiągnęły stanowisko bankiera wobec pozostałego świata, który wskutek pijaństwa popadł w stan kompletnego upadku (sic!) i bez pomocy amerykańskiej nie może się z niego podźwignąć.

Alkohol jest złem dwusiecznem: z jednej strony zmniejsza zdolność produkcyjną narodu, osłabiając wydajność pracy robotnika; z drugiej redukuje jego zdolność konsumpcyjną. Wydając pieniądze na wódkę, obywatel nie jest w stanie zaspakajać innych swych potrzeb, a przez to kurczy się wewnętrzny rynek zbytu dla przemysłu krajowego. Fabryka, zatrudniająca robotników, którzy 2 — 3 razy w tygodniu piją, musiałaby wprowadzić 10 — 12 godzinny dzień pracy oraz 6 — 7 dniowy tydzień roboczy, nie chcąc dopuścić do zmniejszenia swej produkcji .Chluba przemysłu amerykańskiego — 8-godzinny dzień pracy i 5-dniowy tydzień roboczy przy wynagrodzeniu równie wysokiem, albo i wyższem, niż dawniej — możliwy jest jedynie w wypadku zupełnej trzeźwości robotnika.



Henryk Ford na ławie „sztubackiej" w szkole, do której uczęszczał za „lat bezgrzesznych" (według Makuszyńskiego — przyp. Red.).

Inna jest zresztą jakość pracy i wyrobów wówczas, gdy robotnik jest trzeźwy, a inna, gdy od czasu do czasu pije. Nie wolno mieszać benzyny z alkoholem — oto zasada naczelna.

Nowoczesna produkcja, nowoczesna organizacja pracy stawia każdemu pracownikowi tak wysokie zadania, że wykluczonem jest, by mógł im sprostać, nie będąc w tej pełni władz umysłowych, jaką daje tylko absolutna trzeźwość.

Jakżebym mógł podjąć się skonstruowania wozu, który ma przebyć 200.000 mil, gdybym nie mógł liczyć na odpowie-

(Dalszy ciąg p. str. 9).



Walka przeciw przemytnikom alkoholu wymaga nielada pomysłowości. Któżby pomyślał, naprzykład, że w karawanie samochodowym, w trumnie ukryte są butelki likieru? Alkohol i samochód wbrew słowom teorji Forda, w cudownem skojarzeniu!



M-lle Lenan Bernsteind pobiła w Tunisie rekord kobiecy, długotrwałości lotu na awjonetkach

Miss Elinor Smith 17 letnia pilotka, pobiła kobiecy rekord długotrwałości lotu w 26 godz. 22 min.

Angielska lotniczka Lady Heath padła ofiarą w katastrofie podczas zawodów w Cleveland.

Zdobywczynie przestworzy

— Ja też chcę latać, mężusiu—oświadczyła pewnego pięknego poranka słodka i urocza pani Lindbergh swemu małżonkowi, sytemu chwały po „zdobyciu" Atlantyku. I póty się przymilała, a prosiła, aż wreszcie słynny lotnik nauczył ją zawiłego kunsztu pilotowania. Gderał wprawdzie przytem podobno dużo, mówiąc że tak czy tak, przecież na nic to się nie zda. Kobiece nerwy nie wytrzymają tych wszystkich skoków powietrznych, tego nieuniknionego od czasu do czasu zapadania w próżnię i wszelakich innych salto mortale, wyprawianych przez kruchy samolocik.

A przecież... pani Lindbergh nauczyła się tego wszystkiego i lata dziś... jak sam Lindbergh. Jeszcze parę miesięcy i może usłyszymy, że w tajemnicy przed swym mężem, bardzo pono zazdrosnym i zakochanym — wyruszy na nowy podbój Atlantyku.

A cały szereg innych podróżniczek powietrznych? Taka pani Ruth Elder naprzykład, wogóle uznaje wyłącznie tylko lotnicze środki komunikacji i zawsze sama kieruje swym małym zgrabnym aparacikiem, specjalnie dla niej zbudowanym i podobno niezmiernie kosztownym. A panna Louise Theden? Ta poszła dalej jeszcze. Stanęła śmiało do konkursu na wielkiem „Derby" powietrznem, rozgrywanem rokrocznie w Stanach Zjednoczonych. Stanęła, poleciała i zwyciężyła. Zdobyła pierwszą nagrodę, chociaż miała przecież bardzo, ale to bardzo tęgich przeciwników — mężczyzn.



To w Ameryce. A u nas? Oho. My wcale nie pozostajemy w tyle na tem polu. Tylko co przecież w Poznaniu zdobyła sobie ostrogi lotnicze panna Halina Grzybkowska. Poznański Aeroklub Akademicki wydał jej dyplom pilota cywilnego i panna Grzybkowska posiadła prawo samodzielnego sterowania samolotem.

Nie będzie zresztą osamotniona w tej dziedzinie. Niebawem przybędą jej trzy koleżanki. Kończą bowiem w tym roku kursy pilotażu w Polsce trzy jeszcze przyszłe zdobywczynie przestworzy. Poznański Aeroklub więc, trenuje dla laurów powietrznych pannę Marję Domaniewską, lwowski — panią Wandę Olszewską, a w Wilnie znów zgłębia tajemnice szlaków powietrznych panna Nina Kłosówna.

Tak. Nadobnym naszym sportsmenom nie wystarcza już kierownica samochodu. Nęci je zawrotna szybkość samolotu. A sukcesy odważnych lotniczek dowodzą, że i na tem polu kobieta może iść w zawody z mężczyzną.

I co najważniejsze, że w niezgrabnych combinaison'ach lotniczych, w hełmach skórzanych, w grubych rękawicach futrzanych, nic ale to nic nie tracą na swym uroku piękne sterniczki samolotów. Wręcz przeciwnie nawet. W ramach skrzydeł samolotu zdają się nabierać jeszcze więcej czaru. Lotnictwo wszakże jest sportem nawskroś romantycznym. A nikt nie powie chyba, by kobiecie mogło być z romantyzmem „nie do twarzy". *J. T.*





Trzy tancerki niemieckie, które uprawiają namiętnie lotnictwo narówni z charlestonem w dancingu (na lewo). Miss Marjorie Crawford zwyciężczyni rajdu w Los Angelos (u góry). Miss Viola Gentry, której pierwszy sukces samolotowy skończył się narazie... katastrofą... (na prawo)

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

Dlaczego kobiety kłamią?

Powiedziała:
— Nad życie!
(Tak powiedziała).
I upadła mi w ramiona.

* * *

To było w piątek, kiedy powiedziała, że mnie kocha *nad życie*. To było w piątek, kiedy mi padła w ramiona. To było w piątek, o godzinie 5-tej minut 15 (podług czasu kolejowego 17.15), kiedy mnie zaczęła pożerać pocałunkami.

Zresztą nie. Z początku ja ją zacząłem pożerać, potem ona mnie. Tak jest, z początku ja ją, a potem ona mnie. Ostatecznie, wszystko jedno: pożeraliśmy się wzajemnie.

Trwałoby to prawdopodobnie cały wieczór, całą noc i cały następny dzień. W pewnej chwili jednak któreś z nas przypomniało sobie, że jest piątek, dzień postu, a zatem i wstrzemięźliwości. Przestaliśmy się całować. Usiedliśmy na kanapce, patrząc sobie w oczy. Przytuleni do siebie. Ramię do ramienia. Ramię do ramie..?.., nie, to brzmi jakoś zabardzo po sokolsku.. powiedzmy, pierś do piersi... nie, to brzmi wogóle głupio... no, jednem słowem blisko, jedno przy drugiem. Jedno przy drugiem. C'est ça.

Raptem powiedziała:
— Zamknij okno. Wieje.
Odrazu oprzytomniałem.
— Boisz się przeziębić Złotko?
— Naturalnie.
— Lękasz się kataru?
— Oczywiście!

Zrobiło mi się trochę niewyraźnie. No, bo jakżeż? Dopiero co powiedziała, że mnie kocha *nad życie*, a tu nagle taka szalona proza... Tyle trzeźwej dbałości o własne zdrowie...

* * *

Nazajutrz leżałem w łóżku, rozpamiętując zdarzenia dnia poprzedniego. Nieprzytomne pocałunki, przysięgi, a potem ten epizod z oknem. Nad samem uchem zaterkotał mi telefon. Sięgnąłem po słuchawkę. To *ona* dzwoniła.

— Dzieńdobry, Ukochany!
— Dzieńdobry, Najdroższa!
— Jak spałeś?
— Źle, dziękuję. A ty?
— Nie zmrużyłam oka. Pół nocy przeleżałam z książką na kołdrze — a drugie pół nocy przemajaczyłam. Myślałam wciąż o tobie!
— Dziecinko moja najsłodsza!
— Zdawało mi się, że jesteś przy mnie. Tuż. Bliziutko. Serce mi biło, jak oszalałe. Biły mi wszystkie pulsa. Kręciło mi się w głowie. Szumiało mi w uszach.
— Szumiało ci w uszach? Jedyna!
— Przeżywałam jeszcze raz twoje upajające pocałunki...
— Nie mów! Nie mów! Bo zwarjuję! Czy ja jestem wart ciebie...?
— Jesteś wart. Wogóle, jesteś pierwszym mężczyzną w moim życiu. Wiesz?
— Bóstwo moje!
— Pierwszym! Wierzysz mi?
— Wierzę..! A Henryk?
— Henryk? Miłostka pensjonarska.
— A Jan?
— Zupełnie błahy flirt.
— Rozumiem. — No, a twój mąż?
— Mój mąż? Przecież wiesz, że nasze pożycie było właściwie jednem wielkiem nieporozumieniem!
— Mówiłaś mi. W każdym razie żyliście ze sobą pięć lat.. Pięć lat to jest ładny kawał czasu..
— Czy uwierzysz mi, gdy ci powiem, że przez całe te pięć lat nie poczułam ani razu tego, co powinna czuć kobieta, kiedy się do niej zbliża prawdziwy mężczyzna? Tego, co poczułam wczoraj, kiedy mnie porwałeś w ramiona?
— !
— Daję ci na to uroczyste, święte słowo honoru. Wierzysz mi?
— Wierzę! Jesteś roskoszna!
— Gdybyś mnie mógł zobaczyć w tej chwili! Oczy mam podkrążone, usta wyssane, ręce drżące... Coś ty zrobił ze mną, ty, słodki nicponiu...!
— Najukochańsza...
— Boję się, że ta jedna noc posunęła mnie o 10 lat... Zmieniłam się, czuję to dobrze... Dojrzałam... Wiesz...? Jestem w tej chwili blada, jak papier...
— Przyjdę do ciebie zaraz. Chcesz?
— Nie, nie! Dziś nie! Nie chcę ci się dziś pokazywać! Zobaczymy się jutro. Dziś muszę być sama. Muszę trochę ochłonąć. Uspokoić się. Zapewne zupełnie nie wyjdę z domu. A jeżeli wyjdę, to tylko na mały, króciutki spacer. Do parku. Teraz liście tak cudnie spadają z drzew. I w ogrodach jest tak przedziwnie cicho... Będę sobie chodziła wolniutko po pustych alejach, będę przyciskała oburącz niespokojne, bijące serce.. i będę myślała o tobie. I ty myśl o mnie.
— Będę sercem z tobą! Przez cały czas!



...Nie zmrużyłam oka. Pół nocy przeleżałam z książką na kołdrze — a drugie pół nocy przemajaczyłam... (Metro - Julfilm).

— Wiem! Będę to czuła! — Do jutra, Ukochany...
— Do jutra, Najdroższa...

* * *

Wstałem bardzo późno, porządnie roztrzęsiony. Usiadłem przy biurku, usiłując skupić myśli. Nie szło. Postanowiłem załatwić parę pilnych telefonów. Ale nie mogłem się zdobyć na sięgnięcie po katalog telefoniczny. Poczułem, że jestem do niczego. Porzuciłem wobec tego pierwotny plan niewychodzenia z domu, włożyłem palto i kapelusz i udałem się do kawiarni.

Pierwszą osobą, którą spotkałem w hallu była... *Ona!*

Stała z jakąś elegancką, niesłychanie efektownie ubraną osobą i dwoma panami, znanymi mi z widzenia. Ci panowie spędzają pół życia w kawiarniach i dancingach. Pozatem, słyną z bardzo gustownie urządzonych garsonjer. Więcej o nich nic nie wiem. Aha. Jeden z nich ma podobno bardzo dużo pieniędzy, a drugi znacznie mniej, zato mówi doskonale po angielsku, bo skończył Oxford. Aha. Obaj bardzo szczęśliwie grają w pokera.

Mój cud wyglądał bajecznie. Miał na sobie nowiutki, niesłychanie twarzowy płaszczyk z brajtszwanców i zawadjacki kapelusz à la Mac Donald. Zresztą, śmiał się do rozpuku (nie widział mnie, bo był niesłychany tłok) i wogóle, tryskał humorem i zdrowiem...

Wyszedłem czemprędzej z kawiarni, speszony.

— „Będę sobie chodziła wolniutko po alejach" —zabrzmiało mi w uszach — „Będę przyciskała oburącz niespokojne, bijące serce — i będę myślała o tobie".

Zatrzymałem się nagle i powiedziałem na głos:

— Nie lubię ścisku.

— Jeżeli pan nie lubi ścisku — powiedział ktoś uragliwie — to niech pan jeździ Rolls-Roycem... Widzisz go, *hrabia!*

Oprzytomniałem. Istotnie, stałem na przystanku tramwajowym. Właśnie nadchodziło *Zero*.

* * *

W liście nie tłumaczyłem jej wcale co i dlaczego. Po pierwsze, nie miałem żadnej pewności, czy tego listu, w przystępie dobrego humoru, nie przeczyta któregoś dnia dobremu znajomemu, albo nawet całemu tuzinowi dobrych znajomych. Po drugie czułem, że wdawanie się w dziale nie doprowadziłoby do niczego. Więc napisałem tylko, że bardzo żałuję, ale na jutrzejszę rendez-vous nie przyjdę i wogóle proszę, żeby mnie uważała za... wytłumaczonego. A w post-scriptum dopisałem, że pewnie w najbliższym czasie wyjadę z Warszawy na czas dłuższy, więc korzystam ze sposobności, żeby jej złożyć listownie moje uszanowanie.

To było wszystko.

* * *

A swoją drogą, po paru dniach, ochłonąwszy, zacząłem się całej sprawie przyglądać pod nieco odmiennym kątem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wtedy, pod ową lampą z bajecznym abażurem Raczyńskiej (Bo ja zresztą wiem? Może Raczyńską skomponowała sobie na poczekaniu?) kłamała. Nie ulegało wątpliwości ,że potem, telefonując do mnie, także kłamała... Ale ja? Ja przecież także kłamałem, aż się kurzyło! I jak jeszcze!

Powiedziałem naprzykład, że owej pamiętnej nocy spałem źle. Nieprawda: spałem, jak zabity. Zawsze po takich emocjach sypiam snem kamiennym.

Powiedziałem, że jest „najsłodszą", „najdroższą", „jedyną". Humbug. Najsłodszą jest pewna nalewka wiśniowa z roku 1926-go, którą mam od ciotki Karoliny. Poprostu ulep. Zawsze tak bywa, kiedy do robienia nalewek biorą się kobiety, nie mające o tem najmniejszego pojęcia. Nalewki, to rzecz męska... Co tam dalej? Aha, najdroższa. Humbug. Najdrożej kosztowała mnie pewna węgierka, która nie pozwoliła mi się pocałować bodaj w łokieć, k órej musiałem postawić zalo 2 butelki Lansona i wykupić z lombardu futro. Kretyn byłem. Ale to do rzeczy nie należy... Co jeszcze? Aha. jedyna. Humburg. J e d y n ą rzeczą na świecie jest dla rasowego mężczyzny jego kawalerska swoboda. Tylko swoboda jest naprawdę „jedyna". Reszta Fiume...

Więc z tego by wynikało, że kobiety kłamią, bo i my kłamiemy? Hm. To jest zupełnie prawdopodobnie. Zupełnie.

* * *

Ciekawe, swoją drogą, jak to będzie w przyszłem życiu. W niebie będziemy wszyscy tak nawskroś prześwietleni rajskiem światłem, że żadne, nawet najniewinniejsze szelmostwo, nie utrzyma się przez 5 minut. Bo ja wiem? Może będzie można nowicjuszów bujać?

* * *

No, i nowicjuszki...



Mydło ELIDA Favorit

Podkowa

Taki już był od dzieciństwa. Na świat przyniósł widać z sobą duszę fatalisty i niezłomną wiarę w przesądy.

— Obryję dzisiaj, jak amen w pacierzu — oświadczał kolegom w szkole, z miną pełną wzniosłej acz bolesnej rezygnacji.

— Przecież obkuł wczoraj wszystko na blat — dziwił się któryś.

— Guzik to pomoże. Czarny kot przebiegł drogę. —

I jeśli się zdarzyło, że Karol takiego dnia był pytany, to rył przykładnie. Obcinał się na najgłupszem zadaniu, na najłatwiejszym tekście. Wogóle nie fatygował się z odpowiedzią. „Przecież to i tak darmo, poco sobie język strzępić" — zwykł był mawiać.

Stał i ze spokojem słuchał bystrych uwag profesora o głąbach kapuścianych, osłach dardanelskich lub tłuczeniu kamieni, które to zajęcie nasi wychowawcy niejednokrotnie stawiali w podobnego rodzaju przemowach wyżej od aktualnego swego zawodu.

Karol znosił to wszystko z anielskiem poddaniem się przeznaczeniu; co dziwniejsze, również wytrwale znosił przycinki i epitety kolegów, znacznie mniej wytworne od profesorskich. W końcu przywykliśmy do tego dziwactwa i tylko czasem, gdy Karol zapomniał, kto napisał „Pana Tadeusza" lub wiele jest pięć razy pięć, któryś zapytał:

— Co, znowu kot ci przebiegł drogę?

Zazwyczaj zgadywał, choć niekiedy — była to baba z pustemi wiadrami.

Maturę zdał. Przyczyniła się do tego niewątpliwie właścicielka stancji, u której mieszkał. Czcigodna ta niewiasta, zwana popularnie „ciocią Agatką" słynęła szeroko jako świetna kabalarka. Udawało się i Karolowi, że w przystępie łaskawości odkrywała przed nim zasłonę przyszłych wydarzeń.

— O, widzi pan, cztery króle, czeka pana *wielki honor*, to pewnie maturę panu dadzą — wywróżyła mu kiedyś na wiosnę w ósmej klasie.

No i sprawdziło się — Karol dostał maturę.

W dalszych latach trzymał się wiernie swych zasad. Na wojnę ruszył obwieszony całem mnóstwem amuletów; jeden z nich rozbity i wtłoczony przez kulę w ranę spowodował zakażenie krwi i utrudnił operację.

— Gdyby nie to, to nawet nie wartoby gadać o takiej ranie — powiedział lekarz.

Lecz Karol był odmiennego zdania.

— Gdyby nie amulet, to byłaby mnie ta kula niechybnie uśmierciła — zwierzał się przyjaciołom.

Po wojnie, gdy znikły kordony i dawny „wyjazd zagranicę" stał się zwykłą podróżą po kraju ojczystym, Karol szybko asymilował przesądy byłych zaborców i pod tym względem przedstawiał ideał obywatela wolnego od wszelkich dzielnicowych uprzedzeń. Przesądy b. Kongresówki, Galicji z Lodomerją, W. Ks. Poznańskiego z Pomorzem stworzyły w jego duszy harmonijną całość— kodeks, którego przepisy ujęły jego życie w najściślejsze normy.

Karol nie wyskakiwał z łóżka na oślep; zawsze wprzód uprzytomniał sobie dokładnie, która noga jest lewa, a która prawa. Wiadomo bowiem, że wysunąć wpierw lewą nogę z pod kołdry, to zapewnić sobie na dzień cały humor „pod zdechłym Azorkiem". Jeśli podobny fakt przypadkiem Karolowi się zdarzył, to nie omieszkał nigdy tego dnia zwymyślać posługaczkę, posprzeczać się w biurze lub zrobić awanturę stróżowi. Spotkałem go pewnego razu w nastroju niby aktualny repertuar: — to zapadał w cierpką melancholję, to promieniał radością.

— Co ci jest?...

— W tem sęk, że sam nie wiem, co mi ma być. Nie pamiętam bowiem, którą nogą wstałem dziś z łóżka.

Pierwszą jego czynnością po wstaniu było zajrzenie do sennika. Ponieważ podręczników tych posiadał u siebie kilka, a wszystkie zdradzały skłonność do wyjaśnień raczej snów akocentrycznych, w rodzaju: *Drapać się widelcem w głowę — twoja ciotka wyjdzie za mąż;* więc ułożenie horoskopu zajmowało więcej czasu, niż go posiada człowiek, — pragnący nie spóźniać się do biura. Karol spóźniał się niejednokrotnie, stąd pewne scysje między nim a jego szefami. Kiedyś, dobrze już po właściwej godzinie, spotkałem Karola w tramwaju. Z promienną miną oświadczył mi, że spodziewa się dziś jakiegoś szczęśliwego zdarzenia.

— Śniło mi się, że idę brzegiem morza i znajduję na piasku muszlę, podnoszę ją a tu pełno mrówek z pod niej wyłazi.

A teraz uważaj tylko! Morze oznacza radość i urzeczywistnienie zamiarów, mrówki — szczęście muszlę znaleźć — bogactwo.

Dnia tego szef mu oświadczył, że wobec tego, iż spóźnienia przekroczyły wszelką miarę przyzwoitości, musi się z tak niedbałym urzędnikiem rozstać.

Kiedy dowiedziałem się o tem zaproponowałem Karolowi bez ogródek, by senniki cisnął do pieca, a na przyszłość przestał się spóźniać do biura.

Wzruszył litośnie ramionami.

Senniki są w porządku. Kiedy wrócił po tej aferze do domu sprawdził jeszcze raz wróżby dokładnie, i co się okazało. Morze musiało być wzburzone, czego widać nie pamiętał, a to oznacza niebezpieczeństwo. Zamiast *mrówek*, trzeba było wziąć znaczenie: *gniazdo mrówcze*, co wróży nieszczęście. Tak samo zamiast: *znaleźć muszlę*, samą tylko *muszlę* a to znaczy powierzenie tajemnicy.

— Tego ostatniego, to nie bardzo rozumiem — przyznałem się.

— Widzisz, mój drogi, nasza rozmowa z szefem miała charakter, że tak powiem, poufny, a więc niejako tajemnicy. Sny się zawsze sprawdzają.

Ten człowiek był straszny.

Dzięki poparciu przyjaciół Karol znalazł nową posadę. Byłby nawet dostał lepszą, lecz nie zgłosił się o nią w porę, gdyż akurat wypadał poniedziałek, a w tak fatalnym dniu Karol nie przedsiębrał nigdy ważniejszej decyzji. Poprzednie zdarzenie o tyle nauczyło go rozumu, że wstawał wcześniej, aby móc bez obawy spóźnienia się zajrzeć do senników. Że parę razy przyszedł w skarpetkach włożonych na lewą stronę a raz w koszuli na wywrót, nie zwróciło to szczęśliwie niczyjej uwagi. Było gorzej, gdy raz, w gwałtownym pośpiechu, zdarzyło mu się to z kamizelką. Puścił momo uszu życzliwe uwagi kolegów, ze stoickim spokojem, zniósł wesołe zdumienie interesantów, ba, oparł się łagodnej perswazji dyrektora, pragnącego go nakłonić, by garderobie swej przywrócić normalny wygląd.

— Nie mogę, panie dyrektorze, to byłoby odepchnięciem szczęścia od siebie.

Ostatecznie pożegnano go z trzymiesięczną pensją.

— Niechże przynajmniej ma za co leczyć się, biedaczysko — rzekł w biurze dobroduszny dyrektor, który na odchodnem wręczył jeszcze Karolowi adres psychjatry.

Posadę Karol znalazł tym razem bez długich zabiegów.

— Jeszcze zarobiłem na tym interesie. Włożyć na siebie coś na lewą stronę, pewne szczęście. Tylko Boże uchroń przemienić potem. Siedziałem kiedyś u Karola w pokoju, gdy z podwórza dobiegło wołanie:

— Z ręki wróżę! Karty stawiam! —

Młoda i dorodna cyganicha obwieszczała swą sztukę mieszkańcom domu. Karol naturalnie kazał przyjść jej na górę do siebie.

Po różnych hokus pokus ze złotówką, które miały na celu zapewnienie jej tej monety, cyganka rozłożyła na stole stare, zatłuszczone karty.

Co tam się stało w tej kabale! Duża droga, małe pieniądze i list z „*taką nowiną, że się panoczek przestraszy, ale to późniei wszystko się na dobre obróci*", fałszywy przyjaciel (tu Karol podejrzliwie łypnął okiem w moją stronę) a w końcu:

— Panoczek latoś musi się ożenić i weźmie żonkę bardzo dobrą i będą bardzo szczęśliwi.

Po wyjściu cyganki, Karol zadumał się.

— Ano, niema rady, trzeba pożegnać się z kawalerskim stanem.

— Czemu?...

— Nie słyszałeś, co cyganka wróżyła? Przeznaczenie...

Jak „latoś" to „latoś". Karol wiedział, że z przeznaczeniem niema żarów uwinął się tedy szybko i w parę miesięcy stanął na ślubnym kobiercu. Wybierać nie było czasu, więc wziął sobie koleżankę z biura, dziewczyninę niezgorszą, którą trudno było sprowokować do awantury nawet wtenczas, kiedy... sól rozsypała się na stole. Dzieci Karol mieć nie chciał. Wstrząsał się cały na myśl o pisku i pieluszkach w domu. Lecz fatum widać przeznaczyło go do ojcostwa. Na imieninach kolegi tak nieszczęśliwie potrącił kieliszek, że wino polało się czerwoną strugą akurat w stronę jego żony.

Niema rady. Przeznaczenie!

Wkrótce pani Karolowa poczęła jakoś dziwnie zatracać linję.

Karol bez szemrania poddał się przeznaczeniu i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że teściowa, mieszkająca dotąd we własnym domku pod Warszawą, zapragnęła być bliżej córki. Sprzedała tedy nieruchomość, kupiła sobie pokój w Warszawie, resztę sumy ulokowała w banku na procencie i zaczęła nietylko bywać codziennym gościem w domu Karolostwa, lecz i stołować się u córki, a co za tem, spędzała tam czas od rana do wieczora.

Była to więc herod baba, która mało uwagi zwracała na to, czy sól się rozsypała, czy nie, lecz robiła piekło zięciowi ilekroć ten spróbował stawić najlżejszy opór przeciw zarządzeniom, wywracającym dotychczasowy porządek domowy.

— I gdzież to szczęście w małżeństwie wróżone przez cygankę? — skarżył mi się nieraz.

Czułem, że powoli ogarnia go sceptycyzm. Niemotylne wróżby miłych niespodzianek i przyjemności przestały się sprawdzać. Karol mógł wstawać prawą nogą z łóżka, czy lewą, teściowa zawsze potrafiła zepsuć mu humor. Pogodził się nawet z tem, że niewiasta, wróciwszy kiedyś z kazania, na którem ksiądz grzmiał przeciw zabobonom, cisnęła mu nad głową cennym zbiorem senników w piec. Kiedy jednak pewnego rana znalazł podkowę na ulicy, nie powstrzymał się, by



...cyganka rozłożyła na stole stare zatłuszczone karty...

nie przynieść jej do domu i korzystając z nieobecności teściowej, która wybrała się na jakąś wizytę, nie przybić triumfalnie na progu.
Właśnie przyszedłem go odwiedzić, gdy kończył tę pracę.
— Poco się męczysz Karolku, i tak każą ci to oderwać — przestrzegałem.
— Ani mi się śni. Niech sobie sama zębami odrywa. To ostatnia próba „szczęścia w małżeństwie" — westchnął.
Kiedy znów odwiedziłem Karolostwo po pewnym czasie, podkowa widniała na progu.
— Widzę, żeś jednak zwyciężył na tym jednym punkcie, Karolu.
— Na wszystkich mój drogi, na wszystkich. Wyobraź sobie, że teściowa, przychodząc do nas na drugi dzień po przybiciu tej podkowy, tak o nią szczęśliwie zawadziła, że jak rymnęła, to rozbiła sobie głowę o róg szafy i złamała nogę.

T. Tograj.

O aucie i prohibicji

(Dokończenie art. ze str. 9)

dzialnego robotnika? Produkcja spółczesna, oparta jest na absolutnej precyzji wykonania pracy, a ta precyzja bez trzeźwości jest nie do pomyślenia. Robotnik przy nowoczesnych naukowych metodach pracy musi wykazywać wysoką staranność, dbałość i zainteresowanie dla swojego zajęcia. Jeżeli pracuje tylko miernie, niechętnie — aby zbyć, co jest nieuniknione, kiedy pije— wtedy nie można liczyć na dobre wyniki pracy. Więc bez prohibicji — zamiast precyzji — niepewność i dowolność, zamiast pracy odpowiedzialnej i starannej — praca niedbała, bierna — aby zbyć. Wyniki nie dałyby na siebie długo czekać.

MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ OSZCZĘDNOŚCI A P. K. O.

Grozę walki inflacji czasów powojennych zrozumiały państwa i narody i w imię prawdy, prawości i lojalności zaczęły tępić trąd organizmu gospodarczego — pieniądz pozorny, fikcyjny, nieoparty na niczem.

Ruch przywrócenia w Europie rzetelnego, zdrowego pieniądza wyraził się w reakcji przeciwko topieli inflacyjnej. Narody i państwa przystąpiły do założenia nowych fundamentów pod pieniądz prawdziwy, pełnowartościowy.

Życie gospodarcze, powstające z ruin, wymagało odbudowy kapitału, a ten mógł tylko powstać na zdrowych zasadach, gwarantujących niezniszczalność wkładom oszczędnościowym.

Nowy pieniądz ,nie pozorny, jak dotychczas, ale istotny, stały, zaczął powoli odbudowywać zrujnowany doszczętnie zmysł oszczędzania. Pierwszy Międzynarodowy Kongres Oszczędnościowy zwołany do Medjolanu, poświęcony był sprawie odbudowy oszczędności, jako podstawy dobrobytu jednostek i narodów.

Solidarność międzynarodowa obchodzi ten dzień 31 października, jako „dzień oszczędności, jako jej święto, które polega nie na odpoczynku, ale właśnie na intensywnej pracy, na uświadamianiu najszerszych mas ludności o wartości i znaczeniu oszczędności.

Polska należy do 43-ch państw, będących członkami Międzynarodwego Instytutu Oszczędnościowego, a tegoroczne Święto Oszczędności jest nietylko czwartą z kolei rocznicą, ale jest jednocześnie pokazem rezultatów po dziesięciu latach istnienia Wskrzeszonego Państwa Polskiego.

Oszczędność jest zagadnieniem bytu społecznego, od niej zależy dobrobyt państwa i jego obywateli, ona pomnaża kapitał społeczny i tworzy majątek narodowy.

Rola Polski, jako państwa oszczędzającego, wzrasta konsekwentnie z roku na rok. Jeżeli wzrost kapitału u nas nie jest szybki, to jednak jest on systematyczny i posiada wszelkie cechy zdrowego nasilania się. Polska w porozumieniu z krajami Zachodniej Europy ma dotąd jeszcze najniższy stan oszczędności, stoi jednak tu już na pierwszem miejscu wśród krajów wschodnich w Europie. Przewyższamy stanem oszczędności Jugosławię, Bułgarję, Rumunję, Węgry i kilka innych krajów — a dalszy rozwój oszczędności wykazuje stałą tendencję zwyżkową i jest na najlepszej drodze.

Wśród instytucyj, które pracują w Polsce nad odbudową kapitalizacji, naczelne miejsce zajmuje P. K. O. — tak z uwagi na największą ilość wkładców oszczędnościowych i stanu oszczędności, jak również z uwagi na swą organizację oraz systematyczną propagandę oszczędnościową.

Dzięki nowoczesnej technice, sprężystej organizacji i różnorodnym formom wkładów, z równoczesnem utrwaleniem zupełnej pewności i płynności tych wkładów, P. K. O. cieszy się popularnością i dużem zaufaniem wśród najszerszych warstw społeczeństwa. Fakt, że około pół miljona obywateli posiada książeczki oszczędnościowe Pocztowej Kasy Oszczędnościowej jest najwymowniejszym tego argumentem.

Przeciętny miesięczny wzrost liczby oszczędzających wynosi w 1925 r. 2 tys., w 1926 r. — 2,6, w 1927 r .— 4 tys., w 1928 — 8 tys., a ostatnio w bieżącym roku 10 tys. Podobnie i przeciętny miesięczny przyrost stanu oszczędności wynoszacy w 1925 r. zaledwie pół miljona złotych, podnosi się w każdym roku stale, osiągając w bieżącym roku 3,5 miljona złotych.

Obok haseł programowych, podnoszących ko nieczność i potrzebę oszczędzania, wielką rolę odgrywa sama organizacja P. K. O. i dogodne formy składania i podejmowania oszczędności.

Rozrzucone w całym kraju urzędy pocztowe obok Centrali i Oddziałów P. K. O., przyjmują wkłady oszczędnościowe już od jednego złotego począwszy. Każdy posiadacz zwyczajnej książeczki oszczędnościowej, może niezależnie od miejsca wystawienia książeczki, podejmować i wpłacać we wszystkich urzędach pocztowych i Oddziałach P. K. O.

Obok zwyczajnych książeczek oszczędnościowych wydaje P. K. O. t. zw. książki premjowane, polegające na tem, że właściciel książki składając 8 zł. miesięcznie otrzymuje po 10 latach kwotę zł. 1.000 lub też może kwotę tę wcześniej wygrać w losowaniach, które odbywają się w Centrali P. K. O. co kwartał w ilości 6 książeczek na 1.000 ks.

Pozatem prowadzi P.K.O. również ubezpieczenia na życie bez badania lekarskiego. Ubezpieczenia te pozbawione są uciążliwych formalności, i dostępne dla wszystkich sfer dzięki niskim składkom asekuracyjnym, zaczynającym się już od 3 zł. miesięcznie, zależnie od wysokości kwoty ubezpieczeniowej.

Udogodnienia te spowodowały, że ubezpieczenia szybko spopularyzowały się. Dowodem tego jest suma zawartych ubezpieczeń w ciągu pierwszego roku ich wprowadzenia, wynosząca 42,5 miljona zł.

Omówione wyniki działalności P. K. O. zostały osiągnięte systematyczną, planową i na szeroką skalę zakrojoną organizacją, która stawia P. K. O. na pierwszem miejscu wśród instytucyj oszczędnościowych w Polsce.

Dlatego też objektywnie należy stwierdzić wybitną rolę P. K. O. w tworzeniu rodzimego kapitału i pomnażania majątku narodowego. Nagromadzone przez P. K. O. fundusze stanowią nietylko rezerwę dla oszczędzających, ale są także środkiem ożywiającym i zasilającym życie gospodarcze kraju nowemi zasobami, które rozwijają rolnictwo, przemysł, handel i rzemiosło, a co zatem idzie dobrobyt obywateli.

Rola P. K. O. w Międzynarodowym Dniu Oszczędności jest ważna i niemal podstawowa.

Wielka, pół miljonowa rzesza posiadaczy książeczek oszczędnościowych P. K. O. — śmiało i z duma powiedzieć może:

„Idziemy, wielka armja ludzi, którzy zrozumieli sens życia i pracy czas siewu i czas żniwa...

Idziemy krokiem pewnym po twardej, ubitej drodze, gotowi spotkać każdą przeciwność losu i każda złą przygodę.

Nie chroni nas pancerz, ani miecza nie mamy przy boku, a jednak czujemy się silni i pewni, bo kroczymy drogą prostą, jedyną, która prowadzi do celu...

Jesteśmy wielkiem bractwem ludzi, którzy opanowali siebie, przyjęli na się pewne obowiązki, którzy z ufnością oczekują dobrych rezultatów swojej pracy, wstrzemięźliwości, oszczędności.

Jesteśmy związani wspólną ideą trwałego wysiłku i mocnego postanowienia osiągnięcia zamierzonego celu.

Oszczędzamy.

Nasz kapitał zbiorowy, złożony w P. K. O. wynosi 160 miljonów złotych.

Jest nas coraz więcej, jesteśmy coraz silniejsi, my wielka pokojowa armja P. K. O."

Poczta lotnicza w kilka godzin przybywa na miejsce przeznaczenia, poczem natychmiast zostaje doręczona bez żadnych dopłat, podobnie jak telegramy.
List ekspres kosztuje zł. 1.05, list lotniczy tylko 50 groszy.
Posługuj się pocztą lotniczą.

P. K. O.

NAJWIĘKSZA INSTYTUCJA OSZCZĘDNOŚCIOWA W POLSCE

Jedna z chwil przy okienku P. K. O.

Gmach Centrali P. K. O. w Warszawie.

JAK WZRASTAJĄ OSZCZĘDNOŚCI W P.K.O.

PRZY WKŁADCE 20 ZŁ. MIESIĘCZNIE

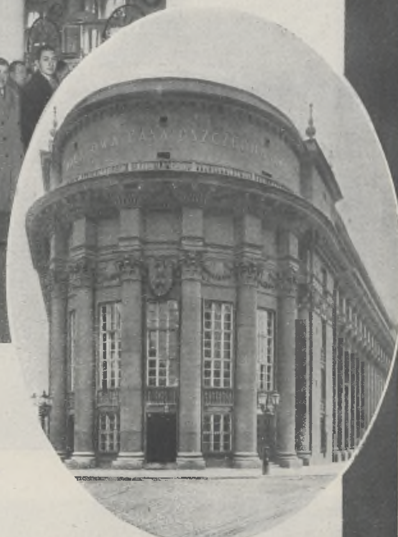
OSZCZĘDNOŚĆ I PRACA LUDZI WZBOGACA

POCZTOWA KASA OSZCZĘDNOŚCI

Przyszłość narodu



Dzieci szkolne składają swe oszczędności w P. K. O.



Gmach P. K. O. w Krakowie.



Kapitalizacja w Polsce zwłaszcza od chwili ustabilizowania waluty, czyni wciąż dalsze postępy, chlubnie świadcząc o zaufaniu, jakiem cieszą się w społeczeństwie instytucje oszczędnościowe.

Kilka cyfr o wzroście oszczędności w P. K. O. świadczy o tem dowodnie: gdy w roku 1926 wkłady w tej Instytucji wynosiły zaledwie zł. 24.639.515 to w r. 1927 wzrosły do sumy zł. 67.603.055, w roku 1928 liczba ta doszła do zł. 122.292.293, a wreszcie z końcem września b. r. dosięgła sumy zł. 154 milj. 860 tys. 143 zł.

Jeszcze bardziej wymowna jest statystyka dotycząca ilości oszczędzających w P. K. O., liczba których wynosiła w r. 1926 113.201, a z końcem września b. r. podniosła się do liczby 387.232, czyli wzrosła w ciągu tego okresu przeszło trzykrotnie.

Cyfry te mówią same za siebie i wskazują, że zmysł oszczędności rozwija się u nas systematycznie, a przy solidarnym wysiłku całego społeczeństwa zdołamy osiągnąć stan ogólnego dobrobytu.



Charles Roggers w kłopocie.



Esther Ralston z Paramount przy kominku.



Artystka wytwórni Metro Goldwym Mayer Allen Pringle w swoim buduarze.

Hollywood, raj filmowy

Stolica filmu jest najmłodszem miastem na świecie. Upłynęło zaledwie 16 lat od czasu, kiedy pierwsi wielcy pionierzy przemysłu filmowego — Jesse Lasky, Cecil B. de Mille Thomas Harper Ince, dziś już nie żyjący, William S. Hart i Mack Seunett — wystawili tu pierwsze, prymitywne „studios" i zaczęli robić zdjęcia w plenerach, skąpanych w złotem słońcu Południa. To też Hollywood jest może jednem wielkiem miastem na ziemi, na którego rozwoju i wyglądzie odbił się inny „rewolucyjny", młody przemysł samochodowy. Jest to miasto - ogród, rozrzucone na olbrzymiej przestrzeni, złożone prawie wyłącznie z małych domków, często w stylu hiszpańskim lub maurytańskim, jakie widzimy



Nowokreowana gwiazda Hollywoodu, Maurice Chevalier, zarabia uśmiechem i piosenkami setki tysięcy dolarów.

niekiedy na ekranie. Przestrzeń nie gra tu roli, bo każdy ma willę, garaż i auto, to też nie trzeba się dziwić, gdy szukając adresu jakiej wytwórni, znajdujemy się np. wobec Nr. 5.600 albo 9.300 Marathon Street czy Santa Barbara. Niektóre ulice ciągną się tu dziesiątkami kilometrów i nic dziwnego, że człowiek bez auta nie jest tu człowiekiem, jak w dawnej Rosji człowiek bez paszportu.

W tem dziwnem mieście, które jest wymarzonym rajem dla szczupłego zastępu wybrańców losu, zaś „ogrodem udręczeń" dla wielu tysięcy parjasów bez engagement — istnieje swoisty proletarjat i swoista arystokracja.

Proletarjatem są statyści, zarabiający 7½ dol. dziennie, gdy pracują, jest ich przeszło 50.000, starych i młodych, mężczyzn i kobiet różnych ras i różnych narodowości, szpetnych i pięknych, kalek, garbatych, brodatych, atletów, murzynów, arabów, kozaków, amantów a la Valentino, wampirzyc a la Barbara La Marr, promiennych urodą dziewcząt, laureatek piękności Wschodu i Zachodu, Południa i Północy. Są wśród nich dawni jenerałowie, jak w pamiętnym filmie Sternberga „Ostatni rozkaz" (von Sternberg zna ten świat, bo sam przez długie lata żył w nędzy, zanim przyszło powodzenie) są nawet arcyksiążęta (którzy grywają niekiedy... samych siebie).

Arystokracją są wielkie gwiazdy, wielcy reżyserowie, wielcy magnaci filmowi i wybitni scenarjopisarze. Oto kilka nazwisk, mających pełnowartościowy dźwięk miljonów i sła



James Hall z Paramountu w swojem prywatnem „Studio"



Ruth Chatterton artystka wytwórni Paramountu przed willą swoją w Hollywoodzie



Richard Arlen z Paramountu w swej bibljotece.



Słynny Jannings na ganku pięknego swego pałacyku.

wy: Mary Pickford, Douglas Fairbanks, Marion Davies, Corinne Griffith, Collen Moore, John Gilbert, Charlie Chaplin, Harold Lloyd, siostry Talmadge, Norma, Konstancja i Natalja, Buster Keaton, Clara Bow, John Barrymore, rodzina Costello: Maurycy, Dolores i Helena, Glorja Swanson, Norma Shearer...

Wszyscy oni zarabiają od 500 tys. do miljona dolarow rocznie i znajdują się przeważnie w koligacjach rodzinnych z magnatami przemysłu filmowego... Dalej: Cecil B. de Mille, George Fitzmaurice, Wiktor Fleming John Robertson, Frank Borzage, Aleksander Korda, Erik v. Stroheim, Marshal Neilau, Frank Lloyd, Tod Browning, John Ford, Wiktor Seastron, D.-W. Griffith, Paul Bern, King Vidor, James Cruze, Reginald Barker, Millard Webb, Allan Dwan ,Herbert Brenon, Raul Walsh, Henri King, Clarence Brown, Michał Curtiz (Kertesz), Van Dyke i sporo innych wielkich reżyserów, zarabiających krocie, jakoteż renomowani scenarjopisarze, wśród których zresztą wybitne miejsce zajmują kobiety: Frances Marion, Jeannie Macpherson, która napisała scenarjusze do wszystkich prawie filmów Cecila B. de Mille'a, Elinor Glyn i t. d. Wreszcie u szczytu władzy, wielcy szefowie przemysłu, właściciele i dyrektorzy wytwórni: Adolf Zukor, Jesse Lasky, b-cia Warner, Laemmle ojciec i syn, William Fox, Józef Schenk, prezes „United Artist" i mąż Normy Talmadge, Louis Meyer, Samuel Goldwyn, który „odkrył" Polę Negri, Vilmę Banky, Ronalda Colmana i Waltera Byrona, J. Mac - Cormick, mąż Collen Moore, Belasco, mąż Corinny Griffith, Irving Thalberg, mąż Normy Shearer i t. d.

Pomimo bajkowych bogactw i atmosfery, jaka otacza arystokrację filmową, życie w Hollywood nie jest bynajmniej huczne, bo wszyscy pracują niesłychanie intensywnie, wcześnie idą spać i unikają wyczerpujących nocnych zabaw. Zresztą, t. zw. nocne lokale są w Hollywoodzie nieznane. Przyjęcia i zabawy odbywają się bądź w prywatnych mieszkaniach bądź w klubach, z których największym rozgłosem cieszy się „Klub 400". Każdy wybitny turysta, zwiedzający Hollywood, każdy nowozaangażowany wielki artysta lub reżyser zaczyna od złożenia wizyty Douglasowi i Mary Fairbanksom, dzierżącym od 10 lat berło władzy towarzyskiej artystycznej na wzgórzu Beverley, gdzie wznosi się ich gustowna willa. Ale najweselsze i najtłumniejsze przyjęcia odbywają się u Marion Davies, której majątek obliczają znawcy na 5 miljonów dolarów.

Ponieważ elita towarzyska gwiazd liczy zaledwie kilkaset osób, więc też w Hollywood kursują plotki, jak w małem miasteczku... a od czasu do czasu wybucha skandal, rozdęty przez chciwą sensacji prasę amerykańską do niebywałych rozmiarów. Był więc przed laty, głośny skandal z grubasem Fatty, który odtąd zniknął z ekranów; był niemniejszy skandal z piękną Mabel Normand, wmieszaną w jakieś romantyczne morderstwo z zazdrości; był wreszcie ostatnio skandal z rozwodem biednego Chaplina, który osiwiał ze zgryzoty; niedawno zaś rozegrał się skandal z Almą Rubens, żoną Ricardo Cortez'a, na tle nadużycia kokainy.

Hollywood przeżywa perjodycznie okresy interesowania się gorączkowego pewną osobistością, która na jakiś czas staje się „modną": tak więc była w Hollywood „moda" na Polę Negri wkrótce po jej przyjeździe, potem na Glorję Swanson, gdy wyszła za markiza De la Coudraie, potem na Johna Gilberta, na Gretę Garbo, na Clive Brooka, ostatnio „modne" są: Clara Bow (u której Elinor Glyn odkryła „coś", co nazwano później „sex appeal"). Dolores del Rio i Lupe Velez... Najnowsza fala mody wyniosła do niebotycznych wyżyn nowe „gwiazdy" filmów dźwiękowych, z Alem Jolsonem i ulubieńcem Paryża, świetnym piosenkarzem Maurice Chevalierem na czele, a teraz, jak słychać, zaczynają być modne „gwiazdy" murzyńskie, odkąd King Vidor powziął myśl nakręcenia dźwiękowego filmu murzyńskiego „Hallelujah".

A z młodszego narybku gwiazd dużą popularność zdobyli: Carles Roggers, partner Mary Pickford w „Mojej najdroższej", Josephina Dunn, którą znamy ze „Śpiewającego Błazna". Hary Cooper, partner Collen Moore w „Nieśmiertelnej Miłości" i Charles Bickford, nieznany jeszcze u nas bohater najnowszego filmu de Mille'a „Dynamit".

Albowiem w Hollywood nikt nie spoczywa na laurach wre tam i gotuje się lawa nowych pomysłów i nowych sław, jak w kraterze wulkanu i Józef von Sternberg, bawiący obecnie w Berlinie, słusznie powiedział w rozmowie z pewnym dziennikarzem:

— Hollywood jest cudownem miastem, gdzie tętni potężny puls życia umysłowego w pełni młodości, jakiej nigdzie indziej nie widziałem.

L. B.

BRUNO WINAWER.

Przygoda profesora Obertha

Pan Tritz Lang, reżyser filmowy, lubuje się w tematach fantastycznych, wellsowskich, verneowskich... To on jest twórcą „Metropolis" i on — razem z panią Harbou, autorką — popełnił właściwie owo — trochę naiwne i artystycznie chybione — głośne „miasto przyszłości", które swego czasu obleciało wszystkie ekrany.

Niedawno zdarzył się obrotnemu reżyserowi, jego nadwornej Szeherezadzie i zamożnej „Ufie" — wytwórni berlińskiej — wypadek bardzo ciekawy, powiedziałbym nawet znamienny i nie cofnąłbym się przed słowem *historyczny!*

Słyszeliście? Więc słuchajcie:

Rok czy dwa lata temu Lang, Harbou i Ufa postanowili znów wyruszyć na podbój krajów z tysiąca i jednej nocy, ułożyli tak zwany scenarjusz, wybrali tytuł frapujący „kobieta na księżycu" (po niemiecku te słowa brzmią mocniej i mają sens podwójny) — zakasali rękawy i zabrali się do roboty.

Tam, gdzie jest mowa o podróży na księżyc, musi być, oczywiście Profesor, typ znany z przeróżnych opowiadań dla młodzieży, musi też być jakiś oryginalny środek lokomocji...

Spólnicy zaprosili do współpracy znanego prof. H. Obertha, który już od lat wielu — doświadczalnie i teoretycznie — pracuje nad t .zw. *samolotem rakietowym*, opartym na odskoku mechanicznym. Ogłosił kilka traktatów poważnych i jest jednym z lepszych znawców tej kwestji, badaczem solidnym, naukowcem, a zarazem zapalonym entuzjastą komunikacji międzyplanetarnej i idei „aeroplanu kosmicznego".

Film — jak to bywa — trochę zawiódł oczekiwania. Aktorzy pokpili sprawę, pani Harbou nic ciekawego nie wymyśliła, pan Lang nie wiedział, co z fantem i tematem począć... Ale — jak to wszystkie recenzje stwierdzają jednogłośnie — profesor Oberth odniósł triumf niebywały. Zwyciężył na całej linji!

Model rakiety kosmicznej, sporządzony podług jego planów, wywołał wrażenie tak mocne, był tak przekonywającą, olśniewającą wizją nowych możliwości technicznych, że rozgrzał i zapalił nietylko szary tłum zwykłych bywalców kinowych... Kapitaliści, sprytni, trzeźwi spekulanci filmowi rozgorzeli jasnym płomieniem szczerego entuzjazmu, odwrócili się od błahych igraszek w wytwórni, sięgnęli do kieszeni i...

W pewnej miejscowości nad Bałtykiem powstaje teraz warsztat doświadczalny. Praca wre... Profesor Oberth konstruuje rakietę — prawdziwą, nie teatralną — która ma wylecieć hen, aż nad stratosferę, na wysokość 70 do 80 kilometrów. Finansuje zaś te szaleńcze plany — właśnie pan Lang z Ufą i Ufa z panem Langiem! Wczorajsza igraszka sklecona z desek i obita płótnem, wczorajszy malowany, dziecinny rekwizyt sceniczny — staje się ciałem, a raczej torpedą stalową..

Nie wiemy oczywiście, jak się owe próby udadzą i czy pan profesor odskoczy od ziemi wgórę na 10 mil (ze sporym ogonkiem). Życzymy mu powodzenia, ale nie tu tkwi jądro sprawy!

Chodzi o to, że romantyczne dzieje jego pomysłów technicznych, droga od „dętej" rakiety filmowej do ciekawego eksperymentu naukowego — zasługują na baczniejszą uwagę i na chwilę poważniejszej dyskusji.

Dawniej, łaskawi państwo, uważaliśmy naukę za rzecz suchą, szarą ,smutną, trudną, pożyteczną, ale bardzo nudną. Fantazje, piękne bajki, niesamowite pomysły kryły się w opowiadaniach dla młodzieży, w utworach powieściopisarzy i w wierszach poetów lirycznych. Kto chciał wylecieć wysoko i poszybować w przestrzeniach międzyplanetarnych, chwytał za tomik sonetów, albo słuchał, co stara piastunka mówi dzieciom wieczorem, przy kominku...

Dziś artyści i literaci — pan Lang i pani Harbou — robią „kicz" nieprawdopodobny, a fantazję twórczą ma... profesor Oberth. Oni bankrutują i — pomimo wszelkich wysiłków — nie potrafią się zdobyć na zajmującą, ciekawą bajkę, on — składa dowody, że w idei naukowej tkwi poezja, która fascynuje publiczność w kinie i porywa nawet trzeźwych właścicieli tego kina, finansistów!

Jeżeli się nad sprawą zastanowić głębiej — przygoda profesora Obertha urasta do rozmiarów symbolu.

Trzeźwi inżynierowie w laboratorjach fabrycznych budują dziś „człowieka elektrycznego", który wygląda, jakby uciekł z niesamowitych opowieści E. T. A. Hoffmana. Radjotechnicy szkicują tajemnicze „samoloty bez pilota" — maszyny, które fruwać będą w powietrzu, rozwozić pocztę, pazażerów, towary, krążyć mają pod niebem, sterowane niewidzialnemi falami elektrycznemi ze stacyj ziemskich. Kapitan Wilkins — solidny, poważny człowiek nauki — zdystansował powieściowego „kapitana Nemo", przebudował łódź podwodną i zamierza już wkrótce dotrzeć do bieguna północnego pod lodem, od dołu i tworzyć nową, niezwykłą drogę dla komunikacji transoceanicznej. Czcigodni, sędziwi badacze studjują wulkany i chcą ogniste góry zaprząc do pracy wydajnej w przemyśle. Jeden z najświetniejszych uczonych współczesnych, profesor Jeans, członek akademji londyńskiej, pisze małą książeczkę o astronomji, jeździ w tem dziełku po granicach kosmosu i dowodzi czytelnikowi — jasno jak na dłoni — że w dzisiejszych dociekaniach matematycznych jest więcej polotu, niż we wszystkich „Gawotach gwiezdnych" i innych wierszach futurystycznych z lat ubiegłych.

Gramofon z firmy „Columbia" (Viva-vox), który słyszałem niedawno, ma taką pełnię i głębię tonu, że produkcje średnich wirtuozów bledną, gasną przy tej niesamowitej maszynie, jak świeczka łojowa przy reflektorze. Rozumiem dlaczego wielkie pisma zagraniczne wprowadziły rubrykę specjalną: recenzje nagranych płyt gramofonowych.

W dziwnych czasach żyjemy. Dzieła trzeźwej nauki i suchej techniki mają czar i powab utworów poetyckich, a utwory poetyckie...

Poezję produkuje niejaka pani Thea Harbou, autorka kiczowatych scenarjuszów filmowych...

Krytycy literaccy i artystyczni będą się musieli stanowczo postarać o jakieś zajęcie w przemyśle. Teren ich działalności zwęża się raptownie.

Rozrywki umysłowe

BILETY WIZYTOWE.
ułożył Jakób Garnowski.

O .CZADRO.

J. AWYGO.

BAR. GENIA DARO.

CZ. ARAGEZI.

ST. ONERA.

BILET WIZYTOWY
Ułożyła Wanda F.

DAN LI CZEK.
Z powyższych ułożyć zawód tej osoby.

BILETY KWIATÓW
Ułożyła Irena Krowicka.

IRA KEJS

W. KNODZE

A. MRZYRON

R. KAEBT

JAN RELPOGA

STAN. JARAC

C. KOSTRZY

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

NAGRODY

Za rozwiązanie biletó wwizytowych przeznaczamy 5 nagród książkowych do rozlosowania. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 11 listopada b. r.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr 37.

Bilety wizytowe:

Elektromonter.
Radjotechnik.
Portrecista.
Topograf.
Dąbrowa - Górnicza.
Bielsk Podlaski.
Ruda Pabjanicka.
Druskieniki.

NAGRODY

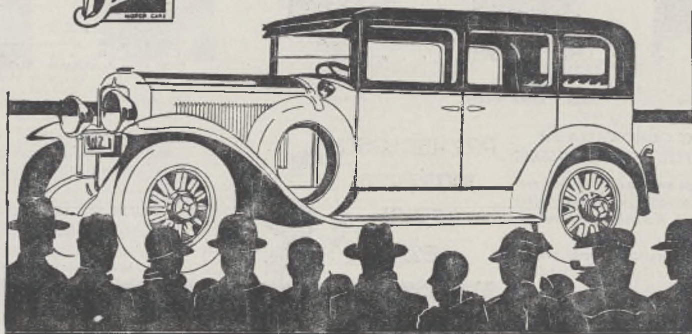
za rozwiązanie zadań z Nru 37 otrzymują (w wyniku losowania) pp. Halina Kowalska z Warszawy, inż. Zdz. Wojciechowski z Warszawy, W. Cichocka z Kalisza, ulica Browarna 6. II, P. Keller, m. Wołów, poczta Stąporków, Anton: Mamroth, Poznań, Uniwersytet.

BUICK

kosztuje tylko

26.300 zł.





Nigdy jeszcze samochód nie cieszył się takiem powodzeniem. Publiczność przyjmuje go z prawdziwym zapałem. I nic dziwnego... Wszak sama nazwa „Buick z polską karoserją” mówi za siebie. Podwozie i silnik Buicka, — karoserja polska, ręcznie wykończona, dostosowana do krajowych warunków... A przytem niebywale niska cena. — Do nabycia we wszystkich upoważnionych zastępstwach na terenie Polski i Wolnego Miasta Gdańska.

B U I C K

GENERAL MOTORS W POLSCE, WARSZAWA

SIWE WŁOSY

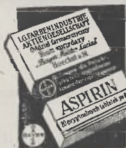
WSKAZUJĄ NA ZBLIŻAJĄCĄ SIĘ STAROŚĆ
NALEŻY TEGO UNIKAĆ
GDYŻ JEDYNIE MŁODOŚĆ ZDOBI



„Orientine”

PRZYWRACA STOPNIOWO SIWYM WŁOSOM PIERWOTNY NATURALNY KOLOR NIEZNACZNIE DLA OTOCZENIA JEST NIESZKODLIWY. NIE PLAMI NIE BRUDZI. PROSTY W UŻYCIU

PARF. d' ORIENT
WARSZAWA
WSZĘDZIE DO NABYCIA



Aspirin
w tabletkach

środek uśmierzający bóle.
Wyjątkowo skuteczny we wszelkiego rodzaju
zaziębieniach
i bólach reumatycznych.

Do nabycia we wszystkich aptekach.



SZWEDZKIE NOŻYKI DO GOLENIA ŚWIATOWEJ SŁAWY

SWING



BIAŁĄ I DELIKATNĄ RĘKĘ DAJE

BOROL

OCHRONA OD WIATRÓW I SŁOTY

CZYTAJCIE TEATR i ŻYCIE WYTWORNE



Nr. 226.
Jangosik.

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"

ROZPOCZYNAMY GŁOSOWANIE!!!



Nr. 231.
„Irusia".



Nr. 227.
Teresia Wiland.



Nr. 228.
Kazio i Krysia Wiland.



Nr. 229.
„Nenuśka".



Nr. 230.
„Nasz Jędruś".



Nr. 232.
Jerzy Tomaszewski.

WARUNKI GŁOSOWANIA NA NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE

Od następnego numeru (42) „7 Dni" rozpoczynamy głosowanie na „Najpiękniejsze Dziecko Polskie". Warunki głosowania następujące:

1) Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 Dni".

2) Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr. 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 Dni".

3) Głosowanie trwa od dnia 10 listopada, do dnia 15 stycznia 1930 r. na podstawie specjalnego kuponu, który będzie zamieszczony w każdym numerze „7 Dni", począwszy od 10 listopada do 15 stycznia włącznie.

4) Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.

5) Nadesłane kupony będą segregowane według ilości głosów, przypadających na dane dziecko.

6) Po zamknięciu głosowania, dziecko posiadające największą ilość głosów uzyska tytuł „Najpiękniejszego Dziecka Polskiego" rodzice zaś lub opiekunowie otrzymają przysługujące im nagrody.

SPIS NAGRÓD DLA MATEK I CZYTELNIKÓW NA S tr.22.

7) Następne nagrody, według warunków konkursu, przypadają dzieciom, posiadającym kolejnie największe ilości głosów.

PREMJE DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI"

Każdy Czytelnik „7 Dni", biorący udział w głosowaniu może otrzymać premję. Przyznanie premji odbędzie się drogą losowania z pośród wszystkich bez wyjątku nadesłanych kuponów.

REGULAMIN ROZWIĄZANIA KONKURSU I LOSOWANIA.

1) Termin nadsyłania kuponów upływa w dniu 15 stycznia 1930 r. o godz. 24-ej. O ważności nadsyłanych kuponów decyduje data stempla pocztowego.

UWAGA. Celem ułatwienia manipulacji biurowej Czytelnicy proszeni są o zaznaczanie na kopercie, iż przesyłka odnosi się do konkursu „Najpiękniejsze Dziecko Polskie".

2) Zestawienie wyników głosowania, przyznania nagród i rozlosowania premji odbędzie się publicznie w obecności Czytelników i zaproszonych gości oraz pod kontrolą notarjusza i przedstawiciela P. K. O., w której to instytucji została zdeponowana kwota 10.000 zł.

3) O dniu, godzinie i miejscu rozdania nagród i losowania nastąpi zawiadomienie w odpowiednim czasie.



Nr. 233.
Danusia Frydówna.



Nr. 234.
Alunia Rydzewska.



Nr. 235.
Urszulka Buczyńska.



Nr. 236.
„Dzidek"



Nr. 237.
Jagódka L.



Nr. 238.
Henio Sztygold



Najsłynniejszy współczesny detektyw kryminalny, angielski M. Wensley, któremu zawdzięczamy poniższy artykuł o fałszerzach banknotów.

Fałszerze banknotów

Kolebką fałszerzy banknotów jest Anglja. Przez cały XVIII i XIX wiek ciągnie się długi łańcuch podrabiania biletów bankowych „Old Lady" — jak nazywano państwowy bank angielski.

Historja pierwszego fałszerstwa jest dość osobliwa i wkracza niemal w dziedzinę romantyzmu. Była ona następująca:

W roku 1758, dwaj miedziorytnicy londyńscy, Gourbold i Fourdrinier, otrzymali zamówienia od pisarza jednego ze znanych adwokatów. W myśl tych zamówień Gourbold miał wykonać w miedzi napis **„I promise to payn"** oraz podobiznę głowy, jaka znajdowała się na banknotach londyńskich, Fourdrinier natomiast napis **„For the Governor and Company of the Bank of England"**. Zamawiający, nazwiskiem Baughan, urządził się tak sprytnie, że obaj miedziorytnicy nic nie wiedzieli o analogicznych obstalunkach. W ten sposób otrzymawszy odpowiednie płytki miedziane zmontował je na wspólnej kliszy, na której wygrawerował cyfrę 20 funtów szterlingów. Następnie wydrukowawszy pewną ilość banknotów udał się do swego szefa.

Szef jego posiadał bardzo piękną córkę, w której Baughan był na zabój zakochany, przyczem cieszył się wzajemnością. Gdy pewnego razu oświadczył się o rękę swej ukochanej, adwokat postawił za warunek, że przyszły jego zięć winien wnieść do małżeństwa, pewną określoną sumę pieniędzy. Wtedy to właśnie lekkomyślny młodzieniec postanowił oszukać adwokata fałszywemi pieniędzmi. Miał zamiar wnieść na ręce przyszłego teścia banknoty, by następnie po ślubie je zniszczyć. Adwokat, nic nie podejrzewając, pieniądze przyjął na przechowanie. Ślub postanowiono na połowę 1758 roku.

Niestety, Baughan, upojony powodzeniem swego pomysłu, puścił nieopatrznie w obieg 2 banknoty. Ponieważ były one bardzo niezdarnie wykonane, następny ich właściciel odkrył fałszerstwo i rzucił podejrzenie na Baughana. Nieszczęśliwy zalotnik przeraziwszy się, mogącemi z tego wypłynąć dla niego, najgorszemi konsekwencjami, postanowił fałszywe pieniądze od teścia wydostać i natychmiast zniszczyć. Jednakże adwokat, spostrzegłszy dziwne zachowanie się Baughama, oraz jego niespokojny wzrok, odmówił nietylko wydania pieniędzy, które w międzyczasie zbadał, ale i ręki swej córki. Na drugi dzień fałszerza aresztowano. Podczas przewodu sądowego miedziorytnik Fourdrinier zeznał, że będąc obecny przy drukowaniu zrobionego przez siebie napisu, nie miał sposobności obejrzenia odwrotnej strony druków gdzie widniały napisy wykonane przez Gourbolda. W ten sposób Baughan, pierwszy fałszerz banknotów z miłości, został skazany na śmierć i powieszony w cztery dni po terminie swego ślubu.

Na początku XIX stulecia fałszerstwa banknotów w Anglji były tak liczne, że często ofiarą podejrzeń padali zupełnie niewinni ludzie. Zdarzyło się w tym czasie, że zostało posądzonych o fałszerstwo 13 ludzi i skazanych na śmierć. Zostali oni oskarżeni przez inspektora banku angielskiego Christmasa. Kiedy na drugi dzień po wyroku mr. Christmas wychodził z domu, zbliżył się do niego pewien znajomy kupiec i wręczając banknot jednofuntowy poprosił o stwierdzenie jego autentyczności. Christmas zbadawszy papier uznał go za fałszywy. Kupiec jednak, niedowierzając jego oświadczeniu, udał się do innego bankiera w Portsmouth, który uznał pieniądz za dobry. Sprawa oparła się o bank państwowy. Okazało się, że inspektor Christmas pomylił się nietylko w wypadku ze znajomym kupcem, ale i w sprawie 13-tu skazanych na śmierć, którzy w wyniku powtórnego dochodzenia zostali oczywiście uwolnieni.

Charakterystyczny ten wypadek nie był odosobniony. Fałszerstwa banknotów jednofuntowych doszły do tak zastraszających rozmiarów, szczególnie pomiędzy 1797 r 1817 rokiem, że inspektorzy banków nie byli w końcu w stanie odróżnić falsyfikatów od dobrych papierów. Ponieważ za fałszerstwo kodeks karny angielski przewidywał karę śmierci, zostało w niedługim czasie powieszonych 330 fałszerzy.

Banknoty, które kosztowały Baughana życie, były nędznemi falsyfikatami. Drukowane na grubym papierze, nie posiadały żadnych wodnych znaków. Jednakże w roku 1778, cała handlowa część Londynu została zalana fałszywą drobnicą tak świetnie podrobioną, że przez długi czas kursowała ona narówni z prawdziwą. W owym czasie znanym był na ulicach City niejaki Maxwell, dawny zegarmistrz, dorobkiewicz, rodem z Gretna Green. Wszyscy znali jego dumną postać i zachowanie się pełne pychy. Posiadając znaczny kapitał, trudnił się wymianą grubszych pieniędzy na drobne. Ten dziwny zbieg okoliczności, rzucił na niego dodejrzenie. Policja zaczęła go śledzić. Jego ostatnim, a jednocześnie bezprzykładnie bezczelnym występem, było wymiana większej sumy drobnych fałszywych pieniędzy w banku państwa. Maxwella aresztowano. Okazało się, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Matteson. Matteson-Maxwell, będąc z zawodu zegarmistrzem, musiał w owych czasach znać się na miedziorytnictwie i snycerstwie. Jako fachowiec w tych rzemiosłach zrobił bez trudności klisze fałszywych banknotów i nadrukowawszy ich niezliczone ilości puszczał w obieg, wymieniając je na prawdziwe. Skazany na śmierć, chciał ratować swoje życie zdradzeniem tajemnicy, w jaki sposób tak zgrabnie podrabiał wodne znaki. Jednakże policja przekonawszy sie, że tajemnicy tej nikomu innemu nie przekazał, zrzekła się dalszych badań w tej sprawie i Matteson-Maxwell zabrał swój wynalazek ze sobą na szubienicę.

Słynnym łotrem był swojego czasu w Londynie Karol Price, Wallijczyk, znany również pod pseudonimem **„Old Patch"**. Pieniądze wyrabiane przez niego były tak mistrzowskiej roboty, że przechodziły bez podejrzeń przez wszystkie instytucje banków. Dopiero przychwycono je w oddziale banku państwa, gdzie sprawdzane są numery.

Oficjalnem zajęciem Price'a, było dokonywanie tranzakcji papierami wartościowemi, przyczem cieszył się w City opinją zdolnego maklera. Niktby nie podejrzewał w eleganckim, poważnym, siwowłosym gentelmenie sprytnego przestępcy. Jedynie, kiedy wychodził na miasto w celu puszczania w obieg fałszywych pieniędzy, przeistaczał się po mistrzowsku w 80-letniego sparaliżowanego staruszka, z wielkim, czarnym plastrem na jednym oku. Od tego plastra zyskał sobie przezwisko: **„Old Patch"**.

Ówczesny szef tajnej policji Clark wpadł na przypuszczenie, że Price i **„Old Patch"** są jedną i tą samą osobą. Śledzenie jednego i drugiego trwało bardzo długo. Price, którego „fabryka" mieściła się w okolicy **Conid Road**, wynajdywał coraz to inne przybrania, w których zwinnie wywijał się z zastawionych sideł Clarka. Aż wreszcie mu się noga podwinęła Price jak wielu przedsiębiorczych i towarzyskich anglików, urządzał częste przyjęcia dla swych przyjaciół i znajomych, przyczem wypożyczał u jubilerów srebrne zastawy stołowe. Na zastaw, deponował w kasie u jubilera paczkę banknotów. Jubilerzy, u których Price w terminie wymieniał srebro za pozostawiane pieniądze, niczego nie podejrzewali. Zdarzył się jednak wypadek, że jeden z jubilerów, otworzył, przez ciekawość, pozostawioną przez klijenta paczkę z pieniędzmi i znalazłszy podejrzany banknot, przesłał go do banku. W ten sposób podejrzenia policji zamieniły się w pewność. Mając już tak poważne poszlaki w swem ręku, Clark przychwycił Prica, gdy ten załatwiał swą zwykłą zamianę w jednym z lombardów na Werwick Street i aresztował go. Teraz stały się jasne policji kombinacje Prica. Mianowicie, nie chcąc być przyłapany z fałszywemi pieniędzmi, deponował je w lombardach i wydostawał je stamtąd w razie koniecznej potrzeby. Dnia 14 stycznia 1776 roku po 56 latach swej zbrodniczej działalności został osadzony w więzieniu.

Pomimo to jednak nie można mu było niczego dowieść, ponieważ wezwani jubilerzy nie mogli stwierdzić z całą pewnością identyczności Prica. Będąc bowiem bardzo ostrożnym, występował stale w innem przebraniu. Jednakże Clare rewidując posiadłość Prica, odnalazł w małej sadzawce za domem ukryte klisze banknotów, oraz wszystkie niezbędne narzędzia do druku. Był to ostateczny atut, który zamknął łańcuch dowodów przeciwko hytremu przestępcy. Price uniknął kary śmierci jedynie dlatego, że powiesił się sam w celi na powrozie, dostarczonym mu przez jego syna, podczas jednej z wizyt.

Koniec zbrodniczej działalności **„Old Patch'a"** przypada w okresie najwyższej inflacji fałszywych banknotów w Anglji. Podrabianie pieniędzy stało się niemal na porządku dziennym. Nawet kara śmierci nie odstraszała.

Główną przyczyną tej powodzi fałszerstw była łatwość wykonania pieniądza, który w swym rysunku, ani wykonaniu nie przedstawiał żadnej trudności

W roku 1819, parlament angielski wyłonił specjalny komitet, którego zadaniem było wynalezienie środków zapobiegawczych nagminnym fałszerstwom. Procesy pochłaniały tak wielkie sumy pieniędzy, że zupełnie nie równoważyły się z ilością przychwyconych falsyfikatów.

Wprowadzenie nowych pieniędzy, kunsztownie wykonanych przez drukarnie państwowe, położyły w pierwszym rzędzie nieprzezwyciężoną przeszkodę fałszerzom. Wypadki fałszerstw zaczęły się zdarzać coraz rzadziej, aż wreszcie całkiem ustały.

Kara śmierci stała się wtedy zupełnie zbyteczną.

(g.).



W Marsylji zostali pochwyceniu fałszerze banknotów francuskich. Grawer Martini i litograf Infartaglia w otoczeniu agentów na dworcu w Paryżu. (Wide World).

J. J. RENAUD.

CZARNA SZPILKA

(Copyright „7 DNI")

Trzecia rano. Wielki hotel nad morzem w Normandji. Na korytarzach żarzą się mdłem światłem kinkiety, przysłonięte niebieskiemi abażurami. Cisza głucha, jeno chwilami silniejszy podmuch wiatru przyniesie stłumiony odgłos szumu morskich fal...

W chwili, gdy dyżurny posługacz wstępował na trzecie piętro, usłyszał nagle skrzyp otwieranych drzwi w głębi długiego korytarza.

Zatrzymał się mimowoli. Wtem rozległ się krzyk i przejmujące jęki. Pobiegł w kierunku głosów. Postać młodej kobiety wyłoniła się z za ciężkiej kotary, którą zasłonięto niedawno wejście na schody służbowe.

Rozległ się nagle strzał i rewolwer, rzucony z za kotary odbił się o ścianę i upadł u stóp kobiety.

Posługacz dobiegł, zdyszany. Kobieta stała, przerażona, drżąc jak w febrze.

Poznał w niej panią Lucynę Mouriade, która od kilku dni zajmowała apartament 324-326 na tem samem piętrze.

— Co się stało?...

Nie odrywając przerażonego wzroku od kotary, ledwo dosłyszalnym głosem zdołała opowiedzieć przebieg wypadku:

— Tam... za kotarą... człowiek! Próbował otworzyć moją walizkę... Obudziłam się... Krzyknęłam... Uciekł... Ja za nim... Nie wiem kto strzelił, tam, za kotarą i rzucił rewolwer...

Posługacz odsunął zasłonę. Jakiś mężczyzna, niskiego wzrostu leżał na wznak, bezwładny. Posługacz wnet stwierdził, że już po nim. Trup.

Incydent ten wszelako obudził gości hotelowych. Wychodzili zaspani, w pyjamach na korytarz, starając się dociec, co zaszło. Pani Mouriade schowała się instynktownie za kotarę, którą posługacz szybko za nią zasunął.

— Nic się nie stało, proszę państwa. Sam się przestraszyłem, ale przekonałem się, że to tylko okiennica — uspakajał gości.

Rozchodzili się powoli, a posługacz zwrócił się z kolei do pani Mouriade.

— Niechże pani uda się do swego pokoju. Pójdę po dyrektora. Zaraz to wyświetlimy — ale nie trzeba, żeby goście się dowiedzieli. Niechże pani pomyśli — w pełni sezonu — taka historja!...

Pani Mouriade słaniając się na nogach, udała się do swego apartamentu.

Po paru chwilach przybyli dyrektor z lekarzem i agentem dyżurującym stale w hotelu.

Śmierć nieznajomego nastąpiła błyskawicznie. Stwierdzono bowiem, iż kula przebiła mlecz pacierzowy, powodując natychmiastowy zgon.

Zauważono jednocześnie ciekawy szczegół. Oto nieznajomy miał na szyi dziwaczną kolię z... kasztanów.

— Też pomysł... — zauważył dyrektor.

W kieszeniach nieznajomego znaleziono drobną sumę pieniędzy, chusteczkę, bilet kolei podziemnej, szpilkę od krawata, zakończoną czarną główką, wyobrażającą murzynkę z czworgiem rąk, połączonych po dwie z każdej strony.

— Szpilka... korek — zastanawiał się agent. I te kasztany... Nic nie rozumiem.

Rozważania te przerwał im nagle okrzyk. Pani Mouriade stała za nimi, przerażona i wpatrując się w szpilkę, powtarzała: „Heblis! Heblis!...".

— Czy pani wie, co oznacza ta szpilka? — zapytał agent.

1.000.000 kilometrów przeleciały samoloty Polskich Linij Lotniczych „LOT" w czasie od 1 stycznia do drugiej połowy września 1929 r. i przewiozły ponad 10.000 pasażerów, miljon listów i 250 ton towarów.

— Nie... nie... nic nie wiem!

— Ale pani coś powiedziała przed chwilą, czego nie zrozumiałem, a zdaje się...

— Nie... to nic! Tak, machinalnie, sama do siebie, po angielsku... Niech mi panowie wybaczą, ale tak byłam tem wszystkiem przejęta...

To mówiąc próbowała się uśmiechnąć, a mimo, iż, blada jak kreda, zdołała tylko wywołać bolesny grymas — była niezwykle piękna.

Agent podniósł rewolwer i trzymając delikatnie za lufę, aby nie zatrzeć odcisków palców, tak cennych dla dalszego badania, zapytał:

— Czy ta broń do pani należy?

— Ależ nie! Co znowu!...

Trudno było istotnie przypuścić, by rewolwer, ciężki, starego typu wojskowego, mógł należeć do eleganckiej damy.

Lekarz nie przestawał przypatrywać się szpilce.

— Dziwna rzecz mówił w zamyśleniu. — Główka ta ma ściśle określone znaczenie. W religji Bramy murzynka z czworgiem rąk — to Kali, bogini śmierci. Ale tu, na tej szpilce, brak jej naszyjnika z czaszek ludzkich, z którym ją zwykle wyobrażają.

— A czyżby w danym wypadku — zauważył dyrektor — cudaczna kolja z kasztanów na szyii zabitego nie miała zastąpić naszyjnika, którego brak bogini śmierci?...

— — — — — — — — — — — —

Około południa przybył sędzia śledczy, któremu powierzono tę zawiłą sprawę. Odwiedził przedewszystkiem panią Mouriade; zachowując przytem jak największą dyskrecję, gdyż dramat ubiegłej nocy mógł wywołać ogólny popłoch nie tylko na tej plaży, ale nawet obok, w innej miejscowości, w której przebywało kilka znakomitości ze stolicy.

Pani Mouriade powtórzyła dosłownie poprzednie zeznania: obudzona jakimś szmerem zapaliła światło i ujrzała mężczyznę, który usiłował otworzyć jej walizkę. Spłoszony — uciekł. Puściła się za nim w pogoń, sądząc, że zdoła znaleść na korytarzu pomoc. W chwili, gdy nieznajomy wślizgnął się za kotarę, usłyszała wystrzał i rzucono w jej stronę rewolwer...

Sędzia stwierdził na walizce ślady włamania. Stwierdził również, iż w magazynie rewolweru brak tylko jednej kuli, której gilzę znaleziono w pobliżu miejsca, gdzie leżał zabity.

A tajemnicza szpilka? Pani Mouriade twierdziła, iż nigdy jej dotychczas nie widziała.

Dalsze badanie przyniosło jeszcze jeden znamienny szczegół. Oto stwierdzono, iż naszyjnik z kasztanów był zabawką chłopczyka, zamieszkałego z rodzicami w apartamencie położonym o piętro wyżej, nad pokojami pani Mouriade. Wniosek stąd prosty — iż zbrodniarz musiał dotrzeć przez pomyłkę na czwarte piętro i że, zapewne mimowoli, zabrał zabawkę, a nie wiedząc później, co z nią zrobić, włożył na szyję.

Nie umiano natomiast wytłomaczyć, kto



...szpilkę od krawata, zakończoną czarną główką...

mógł być sprawcą zbrodni. Kto wystrzelił?... Czyżby to był zamach jakiegoś innego złoczyńcy na panią Mouriade, a ofiarą został włamywacz?...

Sprawa ta stała się jeszcze trudniejszą do rozwiązania, kiedy się okazało, że ślady palców na broni są identyczne z odciskami palców zabitego...

Czyżby sam się zastrzelił i rzucił broń ostatnim wysiłkiem w panią Mouriade? Niemożliwe, gdyż badanie lekarskie z całą pewnością odsuwało wszelkie przypuszczenie o fizycznie niewykonalnem samobójstwie.

Czyżby natomiast wystrzelić mogła pani Mouriade?

Też niemożliwe, posługacz bowiem twierdził, iż w chwili, gdy usłyszał wystrzał, pani Mouriade stała na korytarzu, doskonale widoczna, z rękami wyciągniętemi przed siebie i broni nie trzymała.

A zresztą czem wytłomaczyć, iż w razie gdyby nawet strzelała do złoczyńcy, którego złapała na gorącym uczynku — teraz, po fakcie, stara się temu zaprzeczyć.

— — — — — — — — — — — — — —

Tego samego dnia odwiedził panią Mouriade starszy wywiadowca z posterunku w Caen, który oznajmił jej, iż policja paryska delegowała świetnego agenta, niejakiego Barnèza, który ma tu przybyć niebawem.

— Zobaczy pani — mówił wywiadowca — co to za nadzwyczajny człowiek! Mówią, że brał udział w kilku śledztwach, w których główną rolę odgrywała czarna szpilka identycznie podobna do tej, którą dziś w nocy znaleziono przy zabitym. Barnèze wszystko pani opowie...

Nad wieczorem przybył istotnie Barnèze i oddawszy pismo szefa policji stołecznej starszemu wywiadowcy posterunku w Caen udał się niezwłocznie do pani Mouriade.

— Przyznam pani — oświadczył na wstępie — iż nie wiele rozumiem z tej całej sprawy. Czy ma pani ze sobą kosztowności? Nie? no więc w takim razie jakieś papiery, dokumenty... Bo czegóżby szykali?

Pani Mouriade zastanowiła się przez chwilę.

— Nie, panie — nic nie mam...

— W każdym razie myślą, prawdopodobnie, że pani coś musi mieć. Boć to wygląda najwyraźniej na uplanowaną akcję. Kto wie, czy zamach się nie powtórzy?...

— Zapewniam pana, że nie mam żadnej obawy.

— A ja wprost przeciwnie, przypuszczam, że pani jest jednak narażona na niebezpieczeństwo. I proszę panią, żeby tej nocy ktoś — powiedzmy panna służąca — nocował razem z panią w pokoju. *(d. c. n.)*

Z teki Jotesa



Minister Rolnictwa, Niezabytowski.



Wicemin. Spr. Zagr. A. Wysocki.



Nowy ambasador polski w Londynie, p. Skirmunt.



Kopczyński, prezes Trybunału Administrac.

Rzeczy ciekawe

PELOTA.

Jeżeli Amerykanie północni uprawiają tak namiętnie grę w piłkę nożną i palanta (base-ball), to znów dla Amerykan południowych niema większej przyjemności, jak przypatrywać się grze w pelota tej, jak pomawiają, grze „najszybszej w świecie", a tak podniecającej, że doprowadza widzów niemal do szału.

Ponieważ zaś gra ta przedostała się już z wyspy Kuby, przez modne uzdrowiska nadmorskie Florydy, do Chicago, obecnie zaś zapowiadana jest w Nowym Jorku, skąd zapewne i do nas zawita, warto więc poświęcić jej słów kilka.

Pelota, to gra narodowa Basków, owego maleńkiego zagadkowego narodu, liczącego zaledwie 600 tysięcy głów, a osiadłego po obu stronach Pirenejów i nad wybrzeżem zatoki Biskajskiej, w siedmiu okręgach, z których trzy należą do Francji, a cztery do Hiszpanji.

Hiszpanie nazwali tą grę „Juego de pelota", t. j. grą w piłkę, choć w języku Basków nosi nazwę „Jaz Alai", przedostawszy się zaś do Francji, otrzymała tam znów nazwę inną, mianowicie „Jeu de paume" (gra dłoni, ze względu na to, że piłkę odbijało się dłonią), która stała się pamiętną w dziejach Wielkiej rewolucji francuskiej. Jak wiadomo bowiem, francuski stan trzeci, ogłosiwszy się jedynem, prawdziwem zgromadzeniem narodowem, złożył dnia 20 czerwca 1789 r. przysięgę, która miała obowiązywać do chwili uchwalenia konstytucji, w sali przeznaczonej do tej gry, co wielki malarz francuski, David, uwiecznił w słynnym swym obrazie.

Niesłusznem zdaje się twierdzenie, jakoby ojczyzną peloty był właściwie Meksyk, gdzie znana była przez Azteków pod nazwą „Tlaihiyotentle", gdyż gra Azteków polegała na odbijaniu piłki wszystkiemi częściami ciała, byle nie ręką, gdy pelota polega właśnie na odbijaniu piłki ręką.

Od czasu Wielkiej rewolucji nie słyszano już we Francji o „Jeu de paume", zato przeniesiona przez Basków do Ameryki południowej, gra ich narodowa znalazła tam przyjęcie gorące i rozpowszechniła się szybko pad nazwą hiszpańską, peloty.

Na czem gra ta polega?

Oto na odbijaniu od wysokiej ściany niewielkiej piłki za pomocą długich, zakrzywionych, jak kosy, łopatek, splecionych mocno z wikliny lub trzciny i przytwierdzonych do dłoni rzemieniami, a zwanych *cesta*.

Boisko gry w pelota tworzy długi czworobok prostokątny, otoczony z trzech boków ścianą wysokości czterdziestu stóp z cementu, granitu lub marmuru, czwarty zaś bok podłużny zajmują ustawione amfiteatralnie trybuny dla widzów.

Widzowie tedy mają przed sobą równoległą do trybun ścianę podłużną, na prawo zaś i na lewo— dwie ściany wąskie, zamykające czworobok. Pierwsza z nich zwie się *fronton.*

Czterej gracze, dwaj w koszulkach niebieskich, dwaj zaś w białych, stają pod ścianą przeciwległą frontonowi. Rozlega się uderzenie gongu, rozpoczyna się gra. Jeden z białych lub jeden z niebieskich — to zależy od losu, przypuśćmy, że los daje pierwszeństwo białym — posyła cestą z całej siły piłkę ku frontonowi. Piłka uderza o ścianę, odbija się od niej i wraca. Jeden z niebieskich podchwytuje ją ceską i odrzuca z powrotem ku frontonowi. Ta para graczów wygrywa partję, która zdoła pierwsza pochwycić i odrzucić piłkę ku frontonowi trzydzieści razy. Jeżeli piłka upadnie, nie podchwycona, na ziemię lub jeżeli uderzy o blachę, stanowiącą granicę frontonu, to niezręczna para graczów traci punkt.

Pelota zatem jest grą bardzo prostą. Pięć minut obserwacji wystarczy, aby ją poznać i śledzić z zajęciem jej przebieg.

A że przedstawia pewne niebezpieczeństwo, piłka bowiem odbijana jest z taką siłą, że uderzenie jej może przewrócić lub zranić boleśnie gracza, nie mogącego ominąć jej na wąskiej przestrzeni oraz że przebieg jej jest bardzo szybki i wymaga niesłychanej zręczności i zwinności, wkońcu więc pelota do tego stopnia czaruje, roznamiętnia i porywa widzów, że nie są w stanie oderwać wzroku od tej piłki, szybującej tam i z powrotem w powietrzu, jak biała błyskawica, dopóki gra się nie skończy.

O napięciu nerwów i wysiłku, potrzebnym przy tej „grze najszybszej w świecie" świadczy i to, że — jak zapewniają znawcy — żaden wybitny *pelotari* (piłakrz) — tak nazywają się gracze w pelotę — nie wytrzyma dłużej, niż pięć lat na swem stanowisku, zato, jeżeli stanie się ulubieńcem publiczności, to uwielbiany jest, jak bohater narodowy i pobiera wynagrodzenie nie mniejsze od słynnych toreadorów i bokserów, bo do 10.000 dolarów za sezon, a może mieć kilka takich sezonów w roku.

Co zaś jest niezwykłem przy grze tak ruchliwej, to okoliczność, że petotari nie koniecznie musi być lekki i wysmukły. Może też być przysadzisty i otyły, aby tylko był zwinny i obdarzony wielką siłą, bo to jest konieczne przy odbijaniu piłki.

O podnieceniu wywoływanem śród widzów przez tą grę baskijską, świadczą też sumy, stawiane na zespoły białe lub niebieskie — a można stawiać na nie nawet podczas gry — dorównywuje sumom, stawianym na słynne konie wyścigowe.

Kto wie zatem, czy pelota, która znalazła już zwolenników entuzjastycznych w Stanach Zjednoczonych, nie przywędruje istotnie stamtąd i do nas, jak jazz-band, tango, fokstrot i charleston.

KULT FLAGI NARODOWEJ W AMERYCE.

Pewien robotnik francuski, opisując wrażenia swe z wycieczki do Stanów Zjednoczonych, opowiada, jak wielkie zdziwienie wywołał wśród swych amerykańskich kolegów fabrycznych, gdy im oświadczył, że spożywane właśnie kruche ciasto z jabłkami *(Apple pie)*, stanowiące nieodzowny składnik do lunchu szerokich warstw ludności po drugiej stronie Atlantyku, znane jest we Francji już od niepamiętnych czasów. Amerykanie nie chcieli poprostu wierzyć, aby tak dobra rzecz mogła istnieć poza granicami najlepszego, największego, najsprawiedliwszego i najwolniejszego na kuli ziemskiej kraju, za jaki uważają Stany Zjednoczone.

Drobne to zdarzenie świadczy wymownie, jak głęboko zakorzeniona jest w duszy Amerykanina duma narodowa i miłość ojczyzny.

Bo też istotnie, prócz chyba Japonji, niema na świecie kraju, gdzieby ta duma i miłość, ujawniająca się zwłaszcza pod postacią kultu flagi narodowej, pielęgnowane były z takiem nabożeństwem od najwcześniejszej młodości z pokolenia w pokolenie, jak w Stanach Zjednoczonych.



Prawą rączką salutować!

Załączona ilustracja, będąca kartą tytułową tygodnika „Liberty" z dnia 7 lipca 1928 r., a więc z tygodnia, który obejmował też największe narodowe święto amerykańskie 4-go lipca *(„The Glorious Fourth")*, przedstawia, co łatwo się domyśleć, matkę, wywijającą chorągiewką amerykańską przed oczyma swego dziecka, trzymanego na ręku przez ojca, który, podnosząc rączkę dziecinny woła: „Prawą rączką salutować!".

Już więc w niemowlęctwie dziecko przywyka do czczenia swej flagi narodowej. To samo powtarza się w szkole. I tu dziecko ma wciąż przed oczyma tę flagę — w każdej szkole musi być ta flaga wywieszona — jako symbol wielkości i potęgi swego kraju, jako coś, co po Bogu najwięcej czcić należy, a co tydzień rozwijany jest wobec wszystkich uczniów szkoły wielki sztandar amerykański, dwaj zaś uczniowie, którzy wykazali w ciągu tego tygodnia najlepsze postępy w nauce, dostępują zaszczytu niesienia tego sztandaru w defiladzie przed gronem nauczycieli i nazwiska ich zapisane są w roczniku szkolnym.

I wyrósł z dziecka człowiek dojrzały i już dojrzał w tym człowieku, wkorzenił się w jego serce, kult flagi narodowej. Człowiek ten rozumie dobrze, iż ta flaga nie jest tylko symbolem władz państwowych, lecz własnością i dumą całego narodu. Widzi ją nietylko na gmachach rządowych, ale wszędzie — w bankach, sklepach, fabrykach, wie, że na czele każdego pochodu ulicznego musi być niesiony wielki sztandar gwiaździsty na dowód, iż pochód nie jest skierowany przeciwko państwu, iż uczestnicy jego prawa krajowe szanują.

Słowem, kult flagi narodowej sprawił, że Amerykanin nie wierzy, aby na świecie istniało coś większego, potężniejszego i lepszego, nad te jego Stany Zjednoczone, które symbolizuje uwielbiany sztandar w gwiazdy i pasy — *„Stars and Strips".*

I dlatego też może jest tak oporny na wszelkie zakusy bolszewizmu.

S. B.

CZEM MYĆ TWARZ I SKÓRĘ GŁOWY.

Wystrzeganie się szablonu, tudzież ścisłe uwzględnienie w doborze preparatu *lekarsko - kosmetycznego* stanowią podstawę skutecznego pielęgnowania urody. Dawniej myto twarz preparatem, jaki się nawinął, to też spustoszenia były zastraszające, zwłaszcza u osób z tłustą właściwością cery, skłonną do wągrów, porów i łuszczenia się tłuszczem. Przedewszystkiem zalecam mycie wyłącznie *gorącą wodą, bez względu na właściwość cery.* Tłustą cerę powlec na 10 minut oliwą jadalną, poczem długo spłókiwać gorącą wodą i leciuchno wymyć *proszkiem marmurowym „Miraculum"*. Pudrować odtłuszczającym pudrem *higjenicznym D-ra Lustra.* Prawidłową cerę i suchą zmiękcza się i wygładza prawdziwemi *otrąbkami migdałowemi z przepisu D-ra Lustra.* Dla takich właściwości cery: roślinny puder *egzotyczny D-ra Lustra.* Głowy *nie* zwilżać zimną wodą, myć umiarkowanie gorącą i znanym *Shampoonem D-ra Lustra* — do jasnych, względnie ciemnych włosów.

Dr. Z. B.

NAGRODY

dla matek najpiękniejszych dzieci

1 Nagroda: 3 000 złotych,
2 Nagroda: 1 000 złotych,
3 Nagroda 750 złotych,
4 Nagroda: Maszyna do szycia „Singera".
5 Nagroda: Aparat kinematograficzny Pathé Baby z kasetą, filmem i statywem.
6 Nagroda: Gramofon „Dancephon" z 5 płytami,
7 Nagroda: Mebelki dziecinne z „Komispolu",
8 Nagroda: Aparat fotograficzny „Kodak",
9 Nagroda: Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu".
10 Nagroda: Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu".
11, 12 Nagroda: Słuchawki „Polmet".

UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacane w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.

dla czytelników „7 DNI"

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników *„Siedmiu Dni"*, którzy wezmą udział w głosowaniu drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 Nagroda: 2 000 złotych,
2 Nagroda: Kompletny radjoaparat „Natavis" wartości 1 500 złotych.
3, 4 i 5 Nagrody: po 500 złotych,
6, 7 i 8 Nagrody: po 300 złotych,
9 Nagroda: Aparat kinematograficzny „Pathé Baby" z kasetą, filmem i statywem,
10 Nagroda: Aparat fotograficzny „Kodak",
11 Nagroda: 150 złotych.
12, 13, 14 i 15 Nagrody: po 100 złotych,
16 do 24-ej Nagrody: wieczne pióra „Platignum" z „Komispolu".
25, 26, 27 i 28 Nagrody: piłki skórzane do napompowywania z „Komispolu".
29 Nagroda: Słuchawki „Polmet".

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobarwny balonik.

Torebki wieczorowe

Najnowsze modele torebek wieczorowych różnią się zasadniczo od woreczków teatralnych. Torebki wieczorowe, których panie używają podczas towarzyskich zebrań i tańcujących wieczorków, są płytkie, ponieważ zawartość ich składa się tylko z chusteczki do nosa, puderniczki i grzebienia. W woreczkach teatralnych natomiast, prócz wyżej wymienionych drobiazgów musi się znaleźć miejsce na lornetkę, kluczyki, ewentualnie na program.

Kształty torebek wieczorowych odznaczają się całym bogactwem pomysłów, od całkiem płaskich portfelików, aż do pękatych „Pompadours.

Na powyższym rysunku widzimy cały szereg najnowszych modeli. Pękaty woreczek z jedwabiu usiany drobnemi, sztucznemi kryształkami, wyszywanemi w najfantastyczniejsze wzory. Z lewej strony jest ubrana kamyczkami, we wzory przypominające wybrukowaną ulicę. Obok bardzo ładny woreczek z mory, zamykany pięknym zatrzaskiem z metalowego brokatu, z zamkiem wysadzanym z emalji. Wreszcie torebka w kształcie koperty z metalowego brokatu, z randkiem wysadzanym klejnotami, jako ostatni wyraz mody.

Z PÓŁEK KSIĘGARSKICH

Tygodnik Przygód i Powieści. „Wyspa Mędrców", pow. Marji Buyno Arctowej (wyd. ks. Arcta) Nowa forma wydawania powieści zeszytami, udostępnia szerokim masom młodzieży możność nabywania interesującej lektury, w której, obok godziwej sensacji, znajdzie wiele pożytecznych wiadomości, podanych w popularnej i atrakcyjnej formie. Akcja „Wyspy Mędrców" odbywa się w czasie obecnym, a terenami jej są: przepiękna wyspa Capri pod Neapolem, Warszawa, wieś polska, lasy i dwory kresowe, zawadza ona o Amerykę, toczy się na morzu, w wąskich uliczkach włoskich, wspaniałych apartamentach miljonerów i chatach rybackich. Dodamy jeszcze, że opowiadanie jest porywające, sensacyjne, o żywej i bogatej akcji; typy interesujące, charaktery ciekawe, język piękny, ilustracje A. Gawińskiego doskonałe, słowem całość najbardziej odpowiada potrzebom i upodobaniom czytelników nowoczesnych.

André Armandy. „Tragedja serc", pow. z cyklu „Satanic" w przekł. Zofji Koskowej (wyd. „Płomień). Przyznać należy, iż wśród powodzi obcych przekładów spotykamy, niestety, zbyt dużo bezkrytycznie przyjmowanych rzeczy do druku, których forma osłabia choćby najlepszą treść książki. Przekład p. Zofji Koskowej jest jednym z rzadkich wyjątków w tej mierze, powieść, stanowiąca część cyklu „Satanic" czyta się jednym tchem, z niesłabnącem zainteresowaniem.

KALENDARZYK TYGODNIOWY

3 N. Huberta
4 P. Karola Boromeusza
5 W. Zaharjasza i Elżbiety
6 Ś. Leonarda
7 C. Nikandra
8 P. Godfryda
9 S. Teodora.

TEATR

Wielki: 1.XI. „Tosca" 2.XI. „Widma", 3.XI. „Cyganerja", 6.XI. „Rigoletto",
Narodowy: „Koniec wędrówki" Sheriffa.
Nowy: „Adwokat i róże",
Letni: „Wywczasy donżuana",
Polski: „Pan Topaz",
Mały: „Olimpja",
Operetka Reprezentacyjna: „Księżna Chicago".
Morskie Oko: „Cała Warszawa",
Qui pro Quo: „Kochajmy się".

KINO

Capitol i Pan: „Z dnia na dzień"
Casino: „Motyl brukowy".
Światowid: „Cohn i Kelly w Haremie".
Quo Vadis: „Ich czworo"
Wodewil: „Djana"
Stylowy: „Przebudzenie"
Colosseum: „Grzeszna miłość"
Palace i Apollo: „Manolescu".

ODCZYTY
NA WYSTAWIE „RADJO I ŚWIATŁO".

Czwartek, dnia 31-go października o godz. 20-ej
odczyt p. t. „Radjo czy gramofon", wygłosi p. L. Orlański .Po odczycie dancing.

Piątek, dnia 1-go listopada o godz. 20-ej
Pokazy, demonstracje, koncert.

Sobota dnia 2-go listopada o godz. 20-ej
„Oko elektryczne" — komórka foto-elektryczna i jej zastosowania w telewizji, filmach dźwiękowych i t. p. (powtórzenie) wygłosi p. Z. Lorentz.

o godz. 21-ej
Odczyt p. t. „Racjonalne oświetlenie okien wystawowych" wygłosi p. J. L. Stamirowski.

Niedziela, dnia 3-go listopada
Pokazy, demonstracje, koncert.

Wtorek, dnia 5-go listopada o godz. 17-ej.
Odczyt p. t. „Historja światła", wygłosi p. J. L. Stamirowski,

o godz. 20-ej
Odczyt p. t. „Elektryfikacja odbiorników", wygłosi p. Dr. Alter,

o godz. 21-ej
Odczyt p. t. „Racjonalne oświetlenie okien wystawowych, wygłosi p. J. L. Stamirowski.

Środa, dnia 6-go listopada o godz. 17-ej
Odczyt p. t. „Budowa nowoczesnych radjoodbiorników" wygłosi p. Z. Lorentz.

o godz. 20-ej
Odczyt p. t. „Prostowniki katodowe", wygłosi p. inż. Lutz,

o godz. 21-ej
Odczyt p. t. „Racjonalne oświetlenie okien wystawowych", wygłosi p. J. L. Stamirowski.

Czwartek, dnia 7-go listopada o godz. 20-ej
Koncert, dancing.

Piątek, dnia 8-go listopada o godz. 17-ej
Odczyt p. t. „Znaczenie światła w przemyśle i handlu", wygłosi p. J. L. Stamirowski,

o godz. 20-ej
Odczyt p .t. „Lampy nadawcze", wygłosi p. Ostoja-Wysocki,

o godz. 21-ej
Odczyt p. t. „Racjonalne oświetlenie okien wystawowych", wygłosi p. J. L. Stamirowski.

Sobota, dnia 9-go listopada o godz. 17-ej
Odczyt p. t. „Co trzeba wiedzieć o radju" wygłosi p. Bursztyn,

o godz. 20-ej
Odczyt p. t. „Radjo a kobieta", wygłosi p. Wahl,

o godz. 21-ej
Odczyt p. t. „Racjonalne oświetlenie okien wystawowych", wygłosi p. J. L. Stamirowski.

Niedziela, dnia 10 listopada
Pokazy, demonstracje, koncert.

Wystawa „Radjo i Światło" czynna jest codziennie od godz. 17-ej do 22-ej oprócz poniedziałków.

Wejście bezpłatne, za kartami wstępu, które otrzymać można u kierownika Wystawy, przy ul. Mazowieckiej 9, od godz. 17-ej do 22-ej codziennie z wyjątkiem poniedziałków.

Zofja Dromlewiczowa.

Encyklopedja filmowa


a

AMERYKA.

Ameryka jest to kraj dosyć obszerny. Ludność dzieli się na dwie klasy społeczne — na cow - boyów i na miljonerów. Pierwszych poznaje się po olbrzymich kapeluszach a la Tom Mix, drugich po tem, że nie płacą nigdy szoferom, którzy wiedząc, że nie czynią tego z nędzy, a z wielkopańskich przyzwyczajeń, nie gniewają się, tylko spokojnie odjeżdżają do remizy. Obie te klasy społeczne łączą się stale przez mieszane małżeństwa: miljonerzy poślubiają ubogie sklepowe, miljarderki cow - boyów.

Narodowym strojem kobiet amerykańskich jest kostjum kąpielowy zamieniany niechętnie na suknię balową. Tradycyjnym zwyczajem każdy Amerykanin posiada bliżej nieznanego wujaszka, który umiera zawsze w porę i ratuje siostrzeńca w krytycznej chwili sporym mająteczkiem.

Służba w Ameryce rekrutuje się z resztek arystokracji europejskich rodów, które usługują w pełnej gali, nie tracąc nic ze swej dumy i dostojeństwa, za co niejednokrotnie wynagradzane są odpowiednio świetnem małżeństwem. Oprócz wyżej wymienionych osób, widać niekiedy w Ameryce murzynów, którzy siłą kontrastu wiedzeni obrzucają się chętnie gęstym kremem, oraz stanowią najmuzykalniejszy element w Ameryce, grając we wszystkich orkiestrach.

Młodzież amerykańska odznacza się figlarnością i temperamentem. Ulubioną jej zabawą jest mistyfikowanie siebie i bliźnich. Z tego powodu syn miljonera przebiera się zwykle za chłopca od rzeźnika, lokaj za własnego pana, telefonistka za księżniczkę, a księżniczka za kokotę. W przebraniach tych udają się wszyscy do dancingu, który wypełnia rolę domowego ogniska i tam, przyglądając się nogom nagich tancerek, kochają się i wyznają sobie ze wzruszeniem kim są w istocie.

Ludzi złych w Ameryce niema. Jeżeli bowiem kto zdradza niebacznie złe skłonności, wówczas albo umiera w kwiecie wieku z własnej winy, albo też pod wpływem ukochanej wraca na drogę cnoty.

Ameryka obfituje w bokserów, którzy oddają się swemu ulubionemu zajęciu bez względu na miejsce. Chętnie również biją się w Ameryce po twarzy bez żadnej złej myśli, zresztą dobrodusznie i miło.

Najczęściej używanym środkiem lokomocji są w Ameryce samoloty. W hangarach oprócz aeroplanów znajduje się zawsze spora liczba pastorów, oczekujących na zbłąkaną w przestrzeni parę, celem udzielenia jej natychmiastowego ślubu.

(Fot. Paramount, Universal, Fox)





„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.